

# MARYA TUDOR.

---

(Dokończenie).

Dzień drugi.

## KRÓLOWA.

Komnata królowej. Na kleczniku otwarta Ewangelia. Obok niej korona.  
Po bokach drzwi mniejsze. W głębi główne wejście. Część głębi zapuszczona  
oponą.

## SCENA PIERWSZA.

Królowa w świetnym stroju, w postawie pół leżącej na miękkim wezłowi. U nóg jej Fabiano Fabiani na taburecie. Ubrany jest wspaniale i ma na sobie ozdoby orderu Podwiązki.

FABIANI (*śpiewa przy gitarze*).

Kiedy do snu skłonisz głowę,  
W cieniu, pod oczu mych strażą,  
Twoje sennie usta różowe,  
Słodkimi wyrazy gwarzą.  
A jam, jak w letnie zaranie  
Słowik tęskniący do róży,  
O! śpij kochanie,  
Śpij jak najdłużej!

Kiedy wypowiesz to słowo:  
Kocham cię,—to mi się zdaje,  
Że mi już niebo nad głową,  
Promienne rozkwiera kraje.  
W oczach twych blasku tak wiele,  
Że są nad gwiazdy jaskrawsze,  
Kochaj aniele!  
O! kochaj zawsze!

Bo widzisz, całe tu życie  
 W tych czterech słowach się mieści:  
 Czego daj Boże obficie,  
 Z czem nie ma łez, ni boleści,  
 Czego człek nigdy nie prześni,  
 Co go wiać w niebo jest w stanie:  
 Uśmiechy, pieśni,  
 Sen i kochanie.

(*stawia gitarę*) Oh! kocham cię pani, więcéj, niż to wypowiedzieć zdołam! Ale ten Szymon Renard! ten Szymon Renard, potężniejszy tu od ciebie saméj! Nienawidzę go!

KRÓLOWA. Wiesz dobrze mylordzie, że nie na to poradzić nie mogę. To poseł księcia hiszpańskiego, przyszłego mego męża.

FABIANI. Twego przyszłego męża, królowo!

KRÓLOWA. No, nie mówmy już więcéj o tém, mylordzie. Kocham cię—cóż cię reszta obchodzi? Ale oto, czas już, żebyś odszedł.

FABIANI. Maryo moja—chwilę tylko jeszcze!

KRÓLOWA. Ależ to godzina posiedzenia Rady. Dotąd w komnacie téj panowała kobieta, czas wreszcie wystąpić królowéj.

FABIANI. Kiedy ja żądam, żeby mi królowa nie odbierała kobiety.

KRÓLOWA. Ty żądasz tego? ty tego żądasz? Spójrz na mnie mylordzie. Czy wiesz ty: żeś jest dziecko zepsute, żeś dziwnie piękny, Fabiano!

FABIANI. O, to ty jesteś piękna, pani moja! Gdyby szło o królestwo piękności, to jeszcze tybyś je wzięła. Co ci po koronie! Na czole twojem wyraźniej napisano żeś królowa, niż na niój.

KRÓLOWA. Podchlebiasz mi.

FABIANI. Nie—tylko cię kocham.

KRÓLOWA. Kochasz mię,—nieprawdaz? Mnie tylko jednę? O! powtórz mi to raz jeszcze temi twojemi oczyma. Bo widzisz, my biedne kobiety, to nie możemy nigdy wiedzieć dokładnie, co się tam dzieje w waszych sercach. Zmuszone jesteśmy wierzyć waszym oczom; a najpiękniejsze oczy najbezkarniej kłamią. Tylko że w twoich, Fabiano, jest tyle prawości, szczerości, niewinności duszy, że niepodobna żeby kłamały,—wszak prawda? Tak, tak, wzrok twój miłość tylko wypowiada, Fabiano mój, piękny mój! Oh! oszukiwać oczyma anioła, byłoby rzeczą godną piekła. Więc alboś anioł, albo szatan, Fabiano!

FABIANI. Ni anioł, ni szatan; tylko człowiek który cię kocha.

KRÓLOWA. Który kocha królowę?

FABIANI. Który kocha Maryę.

KRÓLOWA. Słuchaj, Fabiano, ja cię także kocham. Tyś młody, mnóstwo pięknych kobiet z upodobaniem spogląda na ciebie,—wiem o tém. Wreszcie uprzykrzyć się może królowa, jak każda druga. Nie przerywaj mi. Jeśli byś kiedy pokochał inną kobietę, powiesz mi to szczerze. Wtedy łatwiej ci może przebaczę. Ależ nie przerywaj mi. Nie wiesz nawet do jakiego stopnia cię kocham,—nie wiem tego nawet sama. Prawda,—zdarzają się chwile, w których wołałabym żebyś nie żył, niż być szczęśliwym z inną,—ale są znowu takie, w których nad wszystko przenoszę twoje szczęście. Boże mój! pojąć nie mogę, dlaczego ludzie usiłują mię czernić, dowodząc, że nie dobra.

FABIANI. Ja z tobą tylko mogę być szczęśliwym, Maryo. Ja kocham ciebie tylko jedną.

KRÓLOWA. Czy tylko pewno? Patrz na mnie. Czy pewno tylko? Oh! bo zazdrość mię czasem udręcza. Chwilami wyobrażam sobie (i czy jest na świecie kobieta, któraby nie miewała podobnych przystępów?) — otóż wyobrażam sobie chwilami—że mię zdradzasz. Nie raz radabym stać się niewidzialną: żeby módz cię śledzić, widzieć zawsze co robisz, co mówisz, gdzie bywasz. Przypominam sobie z powieści cudownych pierścieni zaklęty, który robi człowieka niewidzialnym—otóż, oddałabym koronę za ten pierścień. Bo mi się zdaje bez ustanku, że chodzisz odwiedzać piękne zalotne kobiety, których tak dużo po mieście. Widzisz,—nie należałoby mię zdradzać, Fabiano!

FABIANI. Ależ oddal od siebie te myśli, Maryo. Ja—zdradzać ciebie—władczyni moja,—królowo moja—moja dobra pani! Musiałbym być największym niewdzięcznikiem, nędznikiem jakich mało. A przecież nie dałem ci najmniejszego powodu do mniemania, że niewdzięcznik i nędznik. Przysięgam ci Maryo, kocham ciebie jedną, ubóstwiam cię—anibym nawet potrafił spojrzeć na inną kobietę! Kocham cię, wierz mi,—czyż tego nie czytasz w moich oczach? Mój Boże! są przecież słowa, które tylko wprost z serca wychodzić mogą,—które kłamać nie umieją. Spójrz na mnie, spójrz mi w oczy, czyż wyglądałam na to że cię zdradzam? Kiedy kto zdradza, łatwo to poznać po nim natychmiast. Kobiety zwłaszcza, mają w tym względzie zmysł osobiwszy. I w jakiejże to chwili wątpisz o mnie Maryo? w chwili kiedy cię może kocham najsilniej. Doprawdy, zdaje mi się, że cię jeszcze nigdy nie kochał tyle co dziś.



Nie mówię tego królowej. Nie dbam w tej chwili o królowę—co mi tam królowa! Cóż mi ona zrobić może? Głowę uciąć? to tylko życie wziąć! Ty, Maryo, możesz mi krwią zalać serce; tyś mi więcéj jak królowa. Nie twój majestat kocham, tylko ciebie. Kiedy całuję twoją drobną, białą rączkę; to całuję ją dla niej saméj, nie dla berła które nosi.

KRÓLOWA. Dziękuję ci, Fabiano—odejdz już. Boże! jakżeś ty piękny! Co za śliczne czarne włosy—co to za piękna głowa! Wróc za godzinę.

FABIANI. To co ty nazywasz godziną, Maryo—dla mnie jest wiekiem całym! *(wychodzi)*.

*(Jak tylko wyszedł, królowa zrywa się z siedzenia, bieży do drzwi skrytych, otwiera je i wprowadza Renarda).*

## SCENA DRUGA.

KRÓLOWA, SZYMON RENARD.

KRÓLOWA. Proszę, mości starosto. I cóż? byłeś tu ciągle?—nie straciłeś ani słowa?

SZYMON RENARD. Ani jednego, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Cóż mówisz na to? Oh! co za chytróść, co za przewrotność! Cóż ty na to?

SZYMON RENARD. Ja?—po prostu nie dziwię się bynajmniej, że człowiek podobny nosi nazwisko kończące się na i.

KRÓLOWA. I jesteś pewny, że chodzi do tej kobiety nocą? Wiedziałeś go na własne oczy?

SZYMON RENARD. Nie tylko ja, ale i Chandos, Clinton, Montagu i dziesięciu świadków.

KRÓLOWA. Doprawdy, to rzecz haniebna!

SZYMON RENARD. Zresztą, łatwo to będzie sprawdzić natychmiast. Dziewczyna jest pod ręką, bom ją kazał wziąć z domu w nocy, jak to już miałem zaszczyt Waszej Królewskiej Mości powiedzieć poprzednio.

KRÓLOWA. Ale czyż to nie wystarczy jeszcze do strącenia głowy z karku tego nędznika?

SZYMON RENARD. Że był w nocy u ładnej dziewczyny? Nie, Miłościwa Pani. Z podobnego powodu oddałaś pod sąd Trogmortona i został uniewinniony.

KRÓLOWA. Ukaralam za to tych co go sądzili.

SZYMON RENARD. Może się zdarzyć potrzeba ukarania również sędziów Fabianiego.

KRÓLOWA. Więc jak się tu pomścić na tym przeniwiercy?

SZYMON RENARD. Czy pomsta ma być przyzwoita?

KRÓLOWA. Pomsta ma być godna królowej.

SZYMON RENARD. Na to, żeby przypadkiem nie uniewinniono winowajcy, jak się to stało z Trogmortonem, jest tylko jeden sposób. Wspomniałem już o nim Waszej Królewskiej Mości. Ów człowiek....

KRÓLOWA. Ale czy zrobi wszystko co ja zechcę?

SZYMON RENARD. Wszystko—jeżeli Wasza Królewska Mość zrobisz wszystko co on zechce.

KRÓLOWA. Czy pójdzie na śmierć?

SZYMON RENARD. Położy swoje warunki, ale pójdzie na śmierć.

KRÓLOWA. Czy wiesz czego żądać będzie?

SZYMON RENARD. Tego samego co ty, Miłościwa Pani—zemsty.

KRÓLOWA. To wprowadź go, a potem stań tak, żebyś mógł słyszeć wszystko (*odchodzi Renard*). Mości starosto!

SZYMON RENARD (*wraca*). Słucham, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Powiedz lordowi Chandos: żeby był w gotowości w sąsiedniej komnacie wraz z sześciu ludźmi z mojej straży. Także kobieta niech będzie gotowa wejść na zawołanie. Już wszystko. (*Szymon Renard wychodzi*). Oh! to będzie coś strasznego!

(*w tej chwili drzwiami bocznymi wchodzi Szymon Renard i Gilbert*).

## SCENA TRZECIA.

KRÓLOWA, GILBERT, SZYMON RENARD.

GILBERT. Kto jest ta osoba przed którą mię stawiono?

SZYMON RENARD. Królowa.

GILBERT. Królowa!

KRÓLOWA. W istocie—jam królowa. No, nie mamy czasu zastanawiać się nad tém. Ty, mój panie, jesteś podobno Gilbert snycerz. Mieszkasz gdzieś po nad wodą, z jakąś Joanną twoją narzeczoną, która cię zdradza dla swego kochanka nazwiskiem Fabiano, który znowu mnie zdradza. Życzysz sobie zemsty—i ja także. W tym celu, dasz mi twoje życie którego użyję według mego upodobania. Zmuszony będziesz zrobić i powiedzieć wszystko co ci każę. bez względu na cokolwiek. Na fałsz lub prawdę, złe lub dobre, sprawiedliwość lub niesprawiedliwość. Masz tylko słuchać głosu zemsty i mojej woli. Słowem, masz się stać w mych rękach istotą bierną, narzędziem—i najzupełniej wyrzec się siebie. Czy zgadzasz się na to?

GILBERT. Miłościwa Pani....

KRÓLOWA. Zemsty chcesz—mieć ją będziesz; ale cię uprzedzam, że dasz życie za to. To z mojej strony. A teraz żądaj zapłaty. Jeżeli masz starą matkę, przed którą życzysz sobie zastawić wory złota, bryły złota—góry złota,—mów, zgadzam się z góry. Kupię twoje życie, choćby za bajeczną cenę.

GILBERT. Miłościwa Pani, ja już nie życzę sobie umierać.

KRÓLOWA. Jakto?

GILBERT. Oto tak, wielka królowo. Rozmyślałem nad tém noc całą, i mniemam że m zbył porywczo potępił moje narzeczoną. Widziałem wprawdzie człowieka, który się chwalił że jest jej kochankiem, ale człowiek ów mógł skłamać. Widziałem klucz—cóż z tego? Klucz mógł być ukradziony. Widziałem list, podobne rzeczy bywają wymuszone groźbą. Zresztą, nie wiem nawet dokładnie: czy to było jej pismo. W ciemności, w pomieszczeniu, mogło mi się mroczyć w oczach. Z tych powodów, nie mogę szastać życiem które jest jej własnością. Nie wierzę niczemu, bo nie jestem pewny niczego, bo się nie widziałem z Joanną.

KRÓLOWA. Widać z tego że kochasz! Jesteś jak ja—odpychasz najdotykalsze dowody. A jeżeli ją zobaczysz, tę swoją Joannę, jeżeli z własnych ust jej usłyszysz wyznanie zbrodni, to czy zrobisz wtedy co ja zechcę?

GILBERT. Zrobię wszystko, ale pod jednym warunkiem.

KRÓLOWA. Powiesz mi go później. *(do Szymona Renarda)* Kobieta tu—natychmiast. *(Szymon Renard wychodzi, królowa umieszcza Gilberta po za oponą, w głębi).* Bądź tam. *(wchodzi Joanna, drżąca i blada).*

## SCENA CZWARTA.

KRÓLOWA, JOANNA, GILBERT.

KRÓLOWA. Zbliż się, dziewczyno. Czy wiesz kto jesteśmy?

JOANNA. Wiem, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Czy wiesz kto jest twój uwodziciel?

JOANNA. Wiem, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Oszukał cię—wszak prawda? Udał się za szlachcica nazwiskiem Amyas Pawlett?

JOANNA. Tak, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. W téj chwili wiesz już: że to Fabiano Fabiani, hrabia Clanbrassil?

JOANNA. Wiem, Miłościwa Pani.



KRÓLOWA. Nocy téj, której cię wzięto z domu, naznaczyłaś mi schadzkę—czekałaś na niego?

JOANNA (*łamiąc ręce*). O! Miłościwa królowo!

KRÓLOWA. Odpowiadaj.

JOANNA (*słabym głosem*). Tak było.

KRÓLOWA. Czy wiesz: że nie macie się niczego spodziewać oboje?

JOANNA. Prócz śmierci. To jeszcze nadzieja.

KRÓLOWA. Opowiedz mi rzecz całą. Gdzieś spotkać mogła tego człowieka?

JOANNA. Kiedym go ujrzała po raz pierwszy, było to... Ale doprawdy, na co to wszystko? Biedna dziewczyna z ludu, uboga a próżna, płocha i zalotna, lubiąca błyskotki i stroje, i która się dała olśnić pięknej powierzchowności wielkiego pana. Oto rzecz całą. Jestem uwiedziona, jestem zhańbiona, jestem zgubiona. Nie mam co dodać więcej. Boże mój! czyż nie widzisz Miłościwa Pani, że każde słowo które wymawiam śmierć mi zadaje.

KRÓLOWA. Tak być powinno.

JOANNA. Oh! gniew twój straszny jest, wiem to królowo. Głowa moja zawczasu gnie się ku ziemi pod ciężarem kary którą mi gotujesz.

KRÓLOWA. Ja? karę gotować dla ciebie? Cóż ty znaczysz w moich oczach, szalona dziewczyno? Czyś ty warta, nędzne stworzenie, żeby się tobą zaprzętała królowa? Mnie w całej téj sprawie o Fabianiego tylko idzie. Ciebie zaś, zupełnie kto inny ukarze.

JOANNA. A więc, Miłościwa Pani, kto bądź on będzie, i jaka bądź będzie kara, zniosę wszystko bez skargi, wdzięczność ci nawet przysięgam, bylebyś raczyła wysłuchać prośby którą składam u stóp twego tronu. Jest na świecie człowiek, który mię przygarnął sierotą w kolebce, który mię wziął za własne dziecko, który mię wykarmił, wychował, który mię pokochał i dotąd kocha; człowiek któregom niegodna, któregom zbrodniczo skrzywdziła, którego obraz tkwi przecież w głębi mego serca, uwielbiany zawsze, czczony jak co najświętszego; człowiek, który zapewne w chwili w której mówię, znajduje dom swój pustym i samotniałym i zniszczonym, i nie może pojąć czemu się stało to wszystko, i wyrывa sobie włosy z rozpaczcy. Otóż błagam Waszój Królewskiej Mości, Najmiłościwsza moja pani, racz sprawić: żeby człowiek ten mógł zawsze pozostać w niewiedomości istotnej prawdy; niech zgładzona zostanie tak, żeby się nigdy nie dowiedział co się ze mną stało: jedném słowem, niech

nie wić raz na zawsze: ani com takiego zrobiła, ani coś pani kazała za to zrobić ze mną. Niestety! nie wiem czy mówię jasno—w głowie mi się męsza, ale chciej pani zrozumieć: że człowiek ten (Gilbert on się zowie), jest jedynym moim na świecie przyjacielem, że jest dobry i szlachetnej duszy, że ma dla mnie szacunek bo sądzi że'm czysta, i dla tego nie chcę żeby mię zuienawdził i obarczył pogardą.... wszak rozumiesz mię Miłościwa Pani? Szacunek jego, to dla mnie więcéj niż życie. o! więcéj daleko!—i wreszcie, toby go tak boleśnie ugodziło! Prędzejby się śmierci spodziewał! Nie potrafiłby nawet uwierzyć temu co się stało. Nie, doprawdy—nigdyby nie potrafił. Boże mój! Boże! biedny Gilbert! Oh! miłościwa królowo, zlituj się nad nim i nademną! Zlituj się nad nim—nie ci przecię nie zrobił złego. Niech się tylko nie dowie o niczem—na Imię Boga cię błagam, Najjaśniejsza Pani—na Imię Najświętszój Panny! Niech się nie dowie, że'm go zdradziła—życieby sobie odebrał. Niech się nie dowie że'm umarła—umarłby!

KRÓLOWA. Człowiek o którym mówisz słucha cię, sądzi, i on to cię ukarze (*występuje Gilbert*).

JOANNA. Boże! Gilbert!

GILBERT (*do królowej*). Oddaję ci moje życie, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. To dobrze. Czy położysz jakie warunki?

GILBERT. Położę.

KRÓLOWA. Jakież będą? Dajemy ci z góry nasze królewskie słowo: że stanie się im zadosyć.

GILBERT. Oto następujące. Rzecz to prosta. Życzyłbym tylko spłacić dług wdzięczności względem pewnego wielkiego pana, który mi powierzał nie mało snycerskiej roboty.

KRÓLOWA. Cóż dalej?

GILBERT. Pan ów pozostaje w tajemnych stosunkach z pewną kobietą, której nie może poślubić, gdyż kobieta ta należy do rodziny wywołańców. Żyła ona dotąd w ukryciu a jest jedyną córką oraz dziedziczką ostatniego lorda Talbot, skaranego mieczem za króla Henryka VIII.

KRÓLOWA. Jaki? Czy tylko pewny jesteś tego co mówisz? Córka Jana Talbota wiernego do zgonu kościołowi? Talbota, dzielnego obrońcy mojej matki? córka Talbota żyje, powiadasz? Na naszą koronę królewską, jeżeli to prawda, dziecię to przyjmujemy za nasze. Doprawdy, to co Jan Talbot zrobił dla matki Maryi



angielskiej, Marya angielska zrobi dla córki Jana Talbota.

GILBERT. W takim razie, za szczęście poczytuję Waszój Królewskiej Mości, że będziesz mogła powrócić córce Talbota majątności jej ojca.

KRÓLOWA. Tak jest — wydarłszy je Fabianiemu! Ale czy są dowody istnienia tej dziedziczki?

GILBERT. Są.

KRÓLOWA. Z resztą, choćby ich nie było, znajdziemy je. Nie na darmom królowa.

GILBERT. Tedy Wasza Królewska Mość raczy zwrócić nazad córce lorda Talbot, ziemie, tytuły, dostojęństwa, nazwisko, herb, oraz dewizę jej ojca. Wasza Królewska Mość raczy zdjąć z jej głowy hańbę wywołania, oraz zapewnić jej całość osoby. Wasza Królewska Mość raczy wydać ją za owego wielkiego pana, który jeden tylko może i powinien być jej małżonkiem. Spełniwszy wyszczególnione warunki, będziesz mogła Miłościwa Pani rozporządzać mną, moją wolnością, życiem, wolą — jak się tylko tobie samąj podoba.

KRÓLOWA. Dobrze. Przysięgam ci na tę tu oto koronę naszą królewską i na tę świętą Ewangelią, że się stanie według tego jak żądasz.

GILBERT. Tak więc, układ nasz zawarty. Każ Miłościwa Pani przygotować grób dla mnie, a łożyć małżeńskie dla oblubieńców. Wielki pan o którym mówiłem, to Fabiano, hrabia Clanbrassil; dziedziczka zaś Talbota stoi przed tobą.

JOANNA. Boże! co on mówi?

KRÓLOWA. Cóż to znowu? Czy mam do czynienia z szaleńcem? Co to ma znaczyć? Mości panie, zastanów się nad tém: żeś osobliwszy śmiałek, jeżeli pozwalasz sobie stroić zarty z królowej angielskiej; że komnaty królewskie, to miejsca, w których należy dziwnie ważyc słowa, i że zdarzają się wypadki, w których usta strącają z karku głowę.

GILBERT. Masz już moją głowę, Miłościwa Królowo, — ja zaś mam twoją przysięgę.

KRÓLOWA. Ależ nie może być, żebyś mówił prawdę. Ten Fabiano, ta Joanna.... Gdzież znowu?

GILBERT. Powtarzam — Joanna ta, tu oto obecna, jest córką i dziedziczką lorda Talbot.

KRÓLOWA. Co? Przywidzenie! złudzenie! szal! — Dowody — czy masz dowody?

GILBERT. Jak najzupełniejsze (*wyjmując papiery z zanadru*). Racz Pani przejrzyć te papiery.

KRÓLOWA. Właśnie ja mam czas czytać te tam twoje papiery! Czy ja żądałam od ciebie jakich papierów? A mnie co po twoich papierach! Klnę się na duszę: że jeżeli tylko dowodzą czegokolwiek, rzucę je w ogień i nic z nich nie zostanie.

GILBERT. Tylko twoją przysięga, Królowo.

KRÓLOWA. Moja przysięga! moja przysięga!

GILBERT. Na koronę i na Ewangelię, Miłościwa Pani, to jest na twoją głowę i na twoją duszę, na twoje życie doczesne i na twoje życie wieczne.

KRÓLOWA. Ależ nareszcie, do czego to wszystko zmierza? Chybaś zmyślił postradał!

GILBERT. Do czego zmierza? Joanna utraciła swoje dostojństwo, wróć je jej Miłościwa Pani,—straciła dobrą sławę—wróć ją jej! Wyznaj głośno córkę Talbota i żonę lorda Clanbrassil—a potem zabierz mi życie.

KRÓLOWA. Twoje życie? a mnie co po niem teraz? potrzebowałam go tylko dla pomszczenia się na Fabianim. Jakże? nie więc nie rozumiesz? Z kolei ja ciebie nie rozumiem. Mówiłeś o zemście—i także się to mścić żadasz? Jakże są głupi ci prości ludzie!. Z resztą, czyż ty myślisz że ja wierzę w twoją śmieszna pogadankę o owęj dziedzicze Talbota? Papiery! pokazujesz mi jakieś papiery! ani myślę na nie patrzeć. Ach! zdradza cię jakaś kobieta, i ty się bawisz w wspaniałość,—to jak ci się podoba. Co do mnie, nie jestem wcale wspaniała! Wściekłość mi serce zjada. nienawiść mi serce zjada. Muszę się zemścić, i ty mi dopomóż musisz. Ależ ten człowiek oszalał! oszalał! oszalał! Boże mój! Na co on mi się przyda? Mieć do czynienia z podobnemi ludźmi w sprawach wielkiej wagi—to doprawdy rozpacz ogarnia!

GILBERT. Miłościwa Pani, jestem panem twego słowa, które jest słowem wielkiej katolickiej królowej. Lord Clanbrassil uwiódł Joannę—lord Clanbrassil się z nią ożeni.

KRÓLOWA. A jeżeli nie zechce?

GILBERT. Wasza Królewska Mość zmusić go raczysz!

KRÓLOWA. Oh! nie. Miej litość nademną, Gilbertcie!

GILBERT. A więc, jeżeliby nie zechciał ten nędznik,—w takim razie, Wasza Królewska Mość zrobisz z nim i ze mną co sama zechcesz.

KRÓLOWA. (*z radością*) Ach! niczego sobie więcej nie życzę!

GILBERT. Gdyby się istotnie tak stało, (zawsze jednak kładę za warunek: żeby korona hrabiów Waterford, uroczyście, własną ręką królowej, włożoną została z powrotem na nietykalną i bezpieczną od krzywdy skroni Joanny Talbot tu obecnej), w takim razie, ja, z mojej strony, obowiązuję się, jak wprzód, zrobić wszystko, co mi Miłościwa Pani rozkażesz.

KRÓLOWA. Ale czy wszystko?

GILBERT. Wszystko.

KRÓLOWA. Powiesz wszystko co każe—umrzesz śmiercią jaką zechcę?

GILBERT. Jakąbądź—byle śmiercią.

JOANNA. Boże mój!

KRÓLOWA. Przysięgasz na to?

GILBERT. Przysięgam.

KRÓLOWA. Tak więc—rzecz się da znowu zrobić. Dobrze. Ty masz moje słowo—ja twoje. Zgadza się. (*myśli przez chwilę*)—(*do Joanny*). Nie jesteś tu potrzebna. Wyjdź—przywołają cię.

JOANNA. Gilbercie, coś ty zrobił! Jam nędznica, i nie śmiem nawet oczu wznieść ku tobie. O! tyś więcej niż anioł, bo masz zarazem cnoty anioła i namiętności człowieka (*wychodzi*).

## SCENA PIĄTA.

KRÓLOWA, GILBERT, potem SZYMON RENARD  
LORD CHANDOS i straż przyboczna.

KRÓLOWA. (*do Gilberta*) Czy masz jaką broń przy sobie? nóż—sztylet—co bądź?

GILBERT. (*dobytą z zanadru sztylet Fabianiego*) Sztylet?—mam sztylet.

KRÓLOWA. Dobrze. Miej go w ręku (*znagła chwyla go za rękę*). Mości starosto Amontu! Mości Chandos! (*ci wpadają ze strażą*). Wziąć tego człowieka! zamierzył się na mnie ze sztyletem. Schwytałam mu rękę, w chwili kiedy miał cios zadać. To morderca!

GILBERT. Miłościwa Pani....

KRÓLOWA. (*z cicha, do Gilberta*) Jaki?... Już zapominasz warunków? Tak to robisz co ci każe? (*głośno*) Wszyscyście świadkami, że miał jeszcze sztylet w dłoni. Mości Renardzie, kto jest obecnie wykonawcą sprawiedliwości w Wieży Londyńskiej?



SZYMON RENARD. Jakiś Irlandczyk nazwiskiem Mac Dermoti.

KRÓLOWA. Niech go przyprowadzą, — chcę z nim pomówić.

SZYMON RENARD. Ty sama, Miłościwa Pani?

KRÓLOWA. Ja sama.

SZYMON RENARD. Królowa ma mówić z katem?

KRÓLOWA. Dlaczego nie? Królowa przemówi do oprawcy, — głowa przemówi do ręki. Tak mieć chcemy. (*wychodzi jeden ze straży*). Mości Chandos i wy panowie, odpowiadacie mi za tego człowieka. Schowajcie go pomiędzy siebie, zasłońcie go sobą. Staną się tu rzeczy, których powinien być świadkiem. Mości Renardzie, czy lord Clanbrassil znajduje się w pałacu?

SZYMON RENARD. Czeką właśnie w Malowanój Komnacie, rychło podoba się Waszój Królewskiej Mości powołać go do siebie.

KRÓLOWA. Nie domyśla się niczego?

SZYMON RENARD. Niczego.

KRÓLOWA (*do Chandosa*). Niech wejdzie.

SZYMON RENARD. Podobnież czeka tam dwór cały. Czy nie byłoby właściwem, Miłościwa Pani, wprowadzić tu kogo więcej, zanim wejdzie lord Clanbrassil?

KRÓLOWA. Którzy są ci, co nienawidzą Fabianiego?

SZYMON RENARD. Wszyscy.

KRÓLOWA. Ale ci, którzy najwięcej?

SZYMON RENARD. Clinton, Montagu, Somerset, hrabia Derby, Gerard Fitz-Gerard, lord Paget i lord kanclerz.

KRÓLOWA (*do lorda Chandosa*). Wprowadź ich wszystkich mylordzie, z wyjątkiem lorda kanclerza. (*Chandos wychodzi*). (*do Szymona Renarda*). Szanowny biskup kanclerz nienawidzi Fabianiego na równi z drugimi, ale to człowiek surowych obyczajów. — (*patrząc na papiery pozostawione na stole przez Gilberta*). Ach! muszę także przejrzeć trochę te papiery.

(*podczas kiedy je przegląda, otwierają się drzwi główne w głębi. Wchodzą niemi z głębokimi ukłony panowie wymienieni przez królową*).

## SCENA SZÓSTA.

Ciż sami, LORD CLINTON i inni Panowie.

KRÓLOWA. Dzień dobry, moi panowie. Boże miej was w swęj opiece. (*do lorda Montagu*). Mości Antoni Brown, proszę wierzyć: że zawsze mamy w świeżej pamięci wytrwałą godność, z jaką staliście po naszej stronie

w układach z cesarzem, naszym wujem.—Mości Paget, dziś jeszcze wręzione ci zostanie nadanie baronii Paget z Beaudesert w Staffordzie.—Ach! ale otóż i nasz stary przyjaciel, lord Clinton. Chowamy was zawsze w równej życzliwości, mylordzie. Wyście to przecie zniweczyli Tomasza Wyatt na równinie Saint-James. Pamiętajmyż o tém wszyscy, moi panowie! Jakże znowu! Toż dnia tego pamiętnego ocalała korona angielska, z pomocą mostu po którym wojska nasze dosięgnąć zdołały rokoszan, oraz muru który przeszkodził tym ostatnim dosięgnąć naszej osoby. Ten most, był to most Londyński, ten mur, to Clinton!

LORD CLINTON (z cicha, do Szymona Renarda). Już pół roku jak królowa nie przemówiła do mnie ani wyrazu. Jakże dziś jest dobra!

SZYMON RENARD (z cicha do Clintona). Cierpliwości, mylordzie, za chwilę ujrzysz ją lepszą jeszcze

KRÓLOWA (do Chandosa), Mylord Clanbrassil wejść już może. (do Szymona Renarda) Kiedy tu już będzie czas jakiś.... (mówi mu coś dalej na ucho, ukazując drzwi przez które odeszła Joanna).

SZYMON RENARD. Tak się stanie, Miłościwa Pani.  
(wchodzi Fabiani).

## SCENA SIÓDMA.

Ciż Sami, FABIANI.

KRÓLOWA. Ach! otóż on!... (mówi dalej pocichu z Renardem).

FABIANI. (do siebie, poglądając w około, podczas kiedy mu się wszyscy kłaniają). Co to wszystko ma znaczyć? Sami tu moi nieprzyjaciele. Królowa rozmawia pocichu z Renardem. Do pioruna! śmieje się: zły znak.

KRÓLOWA (z przymileniem do Fabianiego). Witam cię, mylordzie!

FABIANI (całując jej rękę). Miłościwa Pani.... (do siebie) uśmiechnęła się do mnie.—Więc to nie o mnie tu idzie.

KRÓLOWA (zawsze równie zalotna). Chcę z tobą pomówić, mylordzie.  
(idzie z nim ku przodowi sceny).

FABIANI. Ja także miałbym do pomówienia z tobą, Pani. Do wy-mówienia ci niejedno. Jakto? oddalać mię od siebie, skazywać na wygnanie, i to na tak długo! Ach! nie byłoby tego, gdybyś w godzinach rozłączenia myślała o mnie tyle, ile ja o tobie.

KRÓLOWA. Jesteś niesprawiedliwy. Od czasu jakeśmy się rozstali zajmowałam się tylko tobą.

FABIANI. Oh! prawdaż to? byłabym tyle szczęśliwy? O! powtórz mi to Pani raz jeszcze.

KRÓLOWA (*zawsze uśmiechnięta*). Owszem, przysięgam ci nawet na to.

FABIANI. Więc kochasz mię tyle, ile ja cię Kocham?

KRÓLOWA. O! najzupełniej tak samo. Doprawdy, myślałam tylko o tobie, i to do tego stopnia, że pomyślałam nawet o zrobieniu ci przyjemnej niespodzianki skoro wrócisz.

FABIANI. Jakto? niespodzianki?

KRÓLOWA. Jestto spotkanie pewne, które ci zrobi przyjemność.

FABIANI. Spotkanie? z kim?

KRÓLOWA. Zgadnij. Nie zgadujesz?

FABIANI. Nie, Pani.

KRÓLOWA. Odwróć się tylko. (*Fabiani odwróciwszy się, spostrzega Joannę na progu małych drzwi bocznych*).

FABIANI (*do siebie*). Joanna!

JOANNA (*do siebie*). To on.

KRÓLOWA (*zawsze z uśmiechem*). Mylordzie, czy znasz tę dziewczynę?

FABIANI. Nie, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Dziewczyno, czy znasz tego pana?

JOANNA. Prawda miłsza mi nad życie. Znam go, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Więc tedy mylordzie, żadnym sposobem nie znasz téj kobiety?

FABIANI. Miłościwa Pani, ktoś usiłuje mnie zgubić. Widzę tu samych nieprzyjaciół. Ta kobieta wyraźnie jest z niemi w znowie. Nie znam jéj, Miłościwa Pani—nie wiem nawet co jest za jedna!

KRÓLOWA (*przystępując do niego i dając mu w twarz rękawiczką*). Ah! jesteś podły! Ah! zdradzasz jedną, a wypierasz się drugieję. Ah! nie wiesz: co ona za jedna! Czy chcesz żebym ci ja to powiedziała? To Joanna Talbot, córka Jana Talbota, prawowitego pana katolickiego, który dał głowę na rusztowaniu za sprawę mojęj matki. To Joanna Talbot, moja krewna, czy słyszysz? Joanna Talbot, hrabianka Shrewsbury, hrabianka Wexford, hrabianka Waterford, córka para Anglii! Oto co ona za jedna! Mości Paget, jako kanclerz prywatnéj pieczęci, chcieję zamienić w prawo następne nasze słowa. Podoba się królowéj angielskieję uznać uroczyscie obecną tu młodą kobietę za córę i jedyną spadkobierczynię ostatniego hrabi Waterfordu. (*Ukazując papiery*). Oto dyplomata i dowody, na których zechcesz położyć wielką pieczęć. Taka jest nasza wola. (*do Fabianiego*) Tak — to hrabianka Waterford, — i są na to dowody, i będziesz musiał oddać dobra niegodziwce. — Ach! nie znasz téj kobiety, nie wiesz co jest za jedna? otóż do



wiadujesz się nareszcie, to jest Joanna Talbot, i—mam—  
że ci powiedzieć więcéj jeszcze (*patrząc mu w oczy, głuchym głosem przez zęby*) twoja kochanka, nędzniku!

FABIANI. Miłościwa Pani...

KRÓLOWA. Oto, co ona za jedna. A teraz—posłuchaj coś ty za jeden. Jesteś człowiek bez duszy, człowiek bez serca, człowiek bez rozumu. Jesteś oszust—jesteś nikczemnik!—jesteś... Doprawdy moi panowie, nie potrzebujecie się oddalać. Nie przeszkadza mi bynajmniej: że usłyszycie co powiem temu człowiekowi. Wszak nawet nie zniżam głosu. Fabiano! tyś nikczemnik! zdrajca względem mnie, nędznik względem niéj—tyś bezwstydny służalec—tyś najpodlejszy z ludzi—najostatniejszy z ludzi. Jednak, przyznać to muszę, zrobiłam cię hrabią Clanbrassil, baronem Dinasmonddy—czemże jeszcze? baronem Darmouth w Dewonshire. Otóż—sama nie wiem co mi się stało,—straciłam chyba zmysły! Przebaczenie mi mylordowie, że się tak długo śmiać poufalić z wami ten człowiek. Ty—rycerzem? ty—szlachcicem? ty—wielkim panem?—Ależ, przyrównajże siebie do tych którzy są tém wszystkiém, nędzniku! Ależ, przypatrzże się,—masz tu w około szlachtę co się nazywał Oto Bridges, baron Chandos. Oto Seymour, książę Somersetu. Oto Stanley, hrabia Derby od roku 1485. Oto Clinton, w którego rodzie baronia Clinton trwa już pół trzecia wieku! Czy ty sobie istotnie wyobrażasz: żeś podobny do tych ludzi? Utrzymujesz żeś spokrewniony z hiszpańskim domem Penalwerów—ale to fałsz wierutny,—tyś tylko tuzinkowy Włoszysko—lichota, mniej niż lichota! syn szewca z wioski Lariño!—Tak, moi panowie,—syn szewca! A ja wiedziałam doskonale i nigdy o tém nie mówiła, owszem, starannie ukrywałam, i jeszcze udawałam że wierzę temu człowiekowi, ile razy rozprawiał o swoim szlachectwie! Bo już to my kobiety tośmy wszystkie takie! Boże wielki! radabym żeby to mogło widziéć jak najwięcéj kobiet—to nauka nie do pogardzenia! Ten nikczemnik! ten nikczemnik! Zdradza jedną, a drugięj się wypiera—niegodziwiec! Istotnie, tyś wierutny niegodziwiec! Cóż to znowu? przez cały czas kiedy mówi królowa, on sobie stać pozwala? Na kolana, Fabiani! Mylordowie, przygniećcie tego człowieka do ziemi! niech czołem uderzy w posadzkę!

FABIANI. Najjaśniejsza Pani!

KRÓLOWA. Ten nędznik którego obsypałam dobrodziejstwami! ten pacholek neapolitański, któremu dałam rycerskie ostrogi i wolne hrabstwo angielskie! Ach! powinnam była

przewidzieć co się stało, — nie raz mówiono mi że to wszystko tak się skończy. Ale już to ja jestem taka; upieram się przy swoim, a potem jedną razą widzę że zrobiła głupstwo. Moja własna wina. Włoch, to zawsze znaczy matacz — Neapolitańczyk, to zawsze niekczemnik. Mój ojciec, ile razy użył do czego Włocha, zawsze tego żałował. Ten Fabiani! Widzisz lady Joanno, jakiemu to człowiekowi wpadłaś w ręce, biedne dziecko! — Ale ja cię pomszczę — nie bój się. Oh! powinnam była spodziewać się tego wszystkiego. Z kieszeni Włocha, wydobędziesz tylko sztylet, z duszy Włocha tylko zdradę!

FABIANI. Miłościwa Pani — przysięgam ci...

KRÓLOWA. Zacznie się teraz przeklinać na wszystkie świętości! będzie podłym aż do ostatka — zobaczycie! będzie jeszcze próbował okryć nas wstydem w waszój obecności panowie — nas, słabe kobiety, któreśmy go kochały! nie zdobędzie się nawet na to, żeby z godnością nadstawić głowy.

FABIANI. Przeciwnie, Miłościwa Pani; nadstawię głowy. Jestem zgubiony, widzę to jasno. Śmierć moja jest rzeczą ułożoną. Wasza Królewska Mość użyjesz wszelkich sposobów, — sztyletu — trucizny...

KRÓLOWA. *(chwytając go za obie ręce i pociągając na przód sceny)* Sztylet? trucizna? Co ty tam gadasz Włochu? Na myśli ci zemsta zdradziecka, zemsta haniebna, zemsta z tyłu, zemsta jak w twoim kraju! O! nie, signor Fabiani; ani trucizny, ani sztyletu! Czyż to ja się kryć potrzebuję? Czyż to ja potrzebuję czaść się ukradkiem, po za węglami, nocą? Czyż to ja się potrzebuję poniżyć, kiedy mi się zemścić podoba? O! nie! na Imię Boga! Mnie potrzeba dnia jasnego — słyszysz mylordzie? — świetnego południa, słońca w całym blasku, publicznego obszernego placu, pnia i topora, tłumu na ulicy, tłumu w oknach, tłumu na dachach, stu tysięcy świadków! Chcę żeby wszystkich strach przeszywał, słyszysz mylordzie? Żeby to znajdowano okazałem, groźném i wspaniałém, i żeby mówiono: to kobieta została obrażoną, ale to królowa mści się. Tego ulubieńca któremu tyle zazdrozczono, tego pięknego zuchwalca którego lubiłam ubierać w atłasy i aksamity, życzę sobie widzieć zgiętego w pałąk, przerażonego i drżącego, na klęczkach, na czarném suknie, boso, z związanemi wtył rękoma, obrzucanego szyderstwami motłochu, poniewieranego przez oprawcę. Chcę żeby podły postronek uciskał tę białą szyję, na której za-



wiesiłam łańcuch złoty. Widziałam jak Fabiani wyglądał na tronie, chcę zobaczyć jak mu będzie do twarzy na rusztowaniu.

FABIANI. Najjaśniejsza Pani...

KRÓLOWA. Ani słowa. Ach! ani słowa. Widzisz— już jest po tobie. Wstąpisz na rusztowanie śladem Suffolka i Northumberlanda. Będzie to uroczystość którą wyprawię pocziwemu memu ludowi. Wiesz jak cię pocziwy lud mój nienawidzi. Na Boga! jednak to rzecz wzniosła kiedy o zemstę idzie, móżdż być Maryą królową i panią Anglii, córką Henryka VIII-go, władczynią czterech mórz! A kiedy będziesz już na rusztowaniu Fabiani, to możesz sobie wtedy do wyboru. albo mieć długą mowę do ludu jak Northumberland, albo długo się modlić jak Suffolk, żeby zyskać na czasie wyglądając ułaskawienia; niebem się świadczę, żeś zdrajca podły, i że łaska nie nadejdzie! Ten nędznik chytry, który mi mówił o miłości, który mi mówił *ty*, nie dalej jak dziś rano!... Eh! co mi tam! Mylordowie! zdajecie się dziwić że mówię podobne rzeczy w waszej obecności,— powtarzam wam: to mi wszystko jedno! (*do Somerset*) Mości Książę—jesteś konstabłem wieży, chcieliby odebrać szpadę od tego człowieka.

FABIANI. Oddaję ją, ale protestuję. Przypuściwszy nawet że zostanie dowiedzionem, jakobyem zdradził lub uwiódł kobietę...

KRÓLOWA. A mnie co do tego czyś tam sobie uwiódł jaką kobietę? Czy ja tam dbam o to? Ci panowie są świadkami, że ani o tém myślę.

FABIANI. Uwieść kobietę - Najjaśniejsza Pani— nie jest jeszcze zbrodnią pociągającą karę śmierci. Trogmorton miał przeciw sobie zarzut podobny, a przecież nie został skarany mieczem.

KRÓLOWA. Zaczyna nam nadstawiać głowy, jak sądzę—glista chce urosnąć w węża. A któż ci mówi żeś o to oskarżony.

FABIANI. A więc— o cóż jestem oskarżony nareszcie? Jam nie Anglik, jam wcale nie poddany Waszej Królewskiej Mości. Jam poddany króla neapolitańskiego i wassal świętego państwa. Zmuszony będę zwrócić się ku jego przedstawicielowi, żeby się za mną upomniał. Bronić się będę, Miłościwa Pani. Jestem cudzoziemiec. Nie mogę być skarany gardłem, jak tylko jeślibym popełnił zbrodnię, i to zbrodnię prawdziwą. A jakąż jest moja zbrodnia?

KRÓLOWA. Pytasz się jaka twoja zbrodnia?



FABIANI. Tak, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Mylordowie, słyszeliście zapytanie jakie mi zrobiono, usłyszycie zaraz odpowiedź. Radzę niech się ma na baczności każdy kto stoi przed naszym obliczem, gdyż przekonacie się niebawem, że dość nam uderzyć w ziemię nogą, żeby z niej wyprowadzić rusztowanie. Chandos! Drzwi! Drzwi na rozcież w dwie strony! Dwór cały! Wszyscy! Niech wejdzie kto zechce!

*(Drzwi w głębi rozpadają się w dwie strony. Wchodzi dwór cały.)*

## SCENA ÓSMA.

*Ciż sami, LORD KANCLERZ, dwór cały.*

KRÓLOWA. Wejdźcie, wejdźcie mylordowie. Prawdziwie, wielce mi przyjemnie módz was oglądać wszystkich w dniu dzisiejszym. Panowie od wymiaru sprawiedliwości, proszę tu blisko—bliżej jeszcze. A gdzież miecznicy Izby lordów Harriot i Llanerilo? A! jesteście panowie! Witam was. Dobądźcie waszych mieczów. Dobrze. A teraz, stańcie po prawicy i po lewicy tego człowieka. To wasz więzień.

FABIANI. Najjaśniejsza Pani, jakąż jest moja zbrodnia?

KRÓLOWA. Mylordzie Gardiner, nasz uczony przyjacielu, zwracamy się ku tobie, jako kanclerzowi państwa. Chciéj wiedzieć, iż potrzeba jest, ażebyś co najspieszniej zwołał nadzwyczajną Radę dwunastu lordów-komissarzy Gwiazdzistej Komnaty. Żałujemy nawet, że ich tu nie ma w téj chwili. Gdyż w pałacu tym dzieją się dziwne rzeczy zaprawdę! Wicie mylordowie, ile to już niebezpieczeństw groziło naszej koronie, za powodem księżniczki Elżbiety. Znać spisak Piotra Caro, porozumiewającego się potajemnie z księżniczką, za pomocą pewnych znaków kreślonych na gitarze. Pamiętacie rokosz Tomasza Wyatt, który podburzył hrabstwo Kent. Nie dawno jeszcze temu, mieliśmy nie mało do czynienia z księciem Suffolk, którego schwytano żywcem, poraziwszy na głowę tych co z nim trzymali. Dziś—nowy zamach!—Słuchajcie bacznie. Dzisiejszego ranka, człowiek jakiś zażądał odemnie posłuchania. Udzieliłam mu je; aliści zaledwie przemówił słów kilka, podniósł na mnie broń morderczą. Zdołałam w czas schwycić jego rękę. Lord Chandos i starosta Amontu przytrzymali zbrodniarza, który wyznał że go do tego popchnął lord Clanbrassil.

FABIANI. Ja? Kłamstwo! potwarz! Oh! ależ to rzecz obrzydła! Człowieka takiego nie ma na świecie. Nikt nie znajdzie podobnego człowieka. Co on za jeden? Gdzie on jest?

KRÓLOWA. Nie dalej jak tu.

GILBERT. (*występując z pomiędzy straż*) To ja.

KRÓLOWA. Zaczem, na zasadzie własnowolnego zeznania tego człowieka, My Marya, oskarżamy niniejszém przed Trybunałem Izby Gwiazdzistój, Fabiana Fabiani hrabiego Clanbrassil: jako jest winien zdrady Stanu, oraz królobójczego zamachu na naszą pomazańczą, monarszą osobę.

FABIANI. Królobójca! ja? to coś poczwarnego! Oh! w głowie mi się zawraca! Ćmi się w oczach! Cóż to znów za zasadzka? Ktobądź jesteś nędzniku, czy będziesz miał sumienie powtórzyć raz jeszcze: że jest prawdą co powiedziała królowa?

GILBERT. Powtarzam raz jeszcze, że to prawda.

FABIANI. Ja cię popchnąłem do królobójstwa? ja?

GILBERT. Ty sam, mylordzie.

FABIANI. Ja sam! ja! zawsze ja! Przekleństwo! Wy bo nawet nie możecie mieć pojęcia panowie, do jakiego stopnia wszystko to jest iaksz nikczemny! Człowieka tego wyzionęło chyba piekło. Nieszczęśliwy! chcesz mnie zgubić, ale nie wiesz że i sam zginiesz ze mną. Zbrodnia którą mnie obarczasz, obarcza i ciebie. Prowadzisz mię na śmierć, ale i sam na nią pójdziesz. Słowa twe, szalony człeczce, strącają dwie głowy od razu—moją i twoją. Czy wiesz to?

GILBERT. Wiem.

FABIANI. Mylordowie! człowiek ten jest przekupiony....

GILBERT. Tak jest—przez ciebie, mylordzie. Oto sakiewka pełna złota—zapłata zbrodni. Łatwo na nią poznać twój herb i godła.

FABIANI. To jeszcze nie dowód. Bo nikt, spodziewam się, nie pokaże mi sztyletu, którym ten człowiek miał niby chcieć zabić królowę.

LORD CHANDOS. Jest i sztylet.

GILBERT (*do Fabianiego*). I to własny twój, mylordzie. Sam mi go dałeś na ten cel. Łatwo znaleźć u ciebie pochwę od niego.

LORD KANCLERZ. Hrabio Clanbrassil, czy masz co do odpowiedzi na to wszystko? czy poznajesz tego człowieka?

FABIANI. Nie.

GILBERT. W istocie, widział mię tylko po nocy. Pozwól mi Wasza Królewska Mość pomówić z nim chwilę na osobności; będę się starał dopomódz jego pamięci. *(do Fabianiego, z cicha, na uboczu)* Nie poznajesz więc dziś nikogo, mylordzie? i to równie znieważonego przez ciebie człowieka, jak uwiedzionej przez ciebie kobiety? Ach! mści się królowa; ale i człowiek z motłochu nie darowyywa swego. Wszak wyzywałeś mnie kiedyś, pamiętasz? Dziś wzięto cię jak w kleszcze pomiędzy dwie zemsty, z tych jedna moja—co mówisz na to? Jam Gilbert, snycerz!

FABIANI. Tak, poznaję cię. Mylordowie, poznaję tego człowieka. Od chwili jak mi z nim sprawa, nie mam już co powiedzieć więcej.

KRÓLOWA. Przyznaje się do wszystkiego.

LORD KANCLERZ *(do Gilberta)*. Stosownie do praw normandzkich oraz statutu króla Henryka VIIIgo, w wypadkach zbrodni obrazy majestatu, wyznanie winy bynajmniej nie ocala współsprawcy. Nie zapominaj téż o tém, że w tym razie, panującemu nie służy prawo ułaskawienia, i że koniecznie dasz pod miecz gardło, podobnie jak ten którego oskarżasz. Rozważ to, bo się ciebie pytam po raz ostatni: czy potwierdzasz coś już raz powiedział?

GILBERT. Wiem że umrę i potwierdzam wszystko.

JOANNA *(do siebie)*. Boże mój! jeżeli to sen, to jakże okropny!

LORD KANCLERZ *(do Gilberta)*. Czy zgadzasz się stwierdzić przysięgą to coś zeznać? *(podaje Gilbertowi Ewangelię, której on dotyka ręką)*.

GILBERT. Tak jest. Przysięgam z ręką na Ewangelię, oraz śmiercią przed oczyma: że człowiek ten jest istotnym mordercą, że ten sztylet będący jego własnością służył do zbrodni, że ten worek złota dał mi sam jako zapłatę spółnictwa; tak mi Boże dopomóż i niewinna Jego Męko—powiedziałem prawdę.

LORD KANCLERZ *(do Fabianiego)*. Mylordzie, czy masz co do powiedzenia?

FABIANI. Nic zupełnie. Jestem zgubiony.

SZYMON RENARD *(z cicha do królowej)*. Wasza Królewska Mość raczyłaś zawezwać kata. Właśnie czeka na Jój rozkazy.

KRÓLOWA. Niech wejdzie.

*(Dworzanie rozstępują się na dwie strony; w głębi ukazuje się kat ubrany czerwono z czarnem, trzymający na ramieniu długi miecz w pochwie)*.



## SCENA DZIEWIĄTA.

*Ciż sami, KAT.*

KRÓLOWA. Mości książę Somerset, dwóch tych ludzi osadzicie w więzieniach wieży. Mości kanclerzu państwa, chciejcie od jutra rozpocząć sąd nad nimi w obec Trybunału dwunastu parów Izby Gwiazdzystej, i niech Bóg raczy wspomagać Starą Anglię. Mieć chcemy, ażeby skarano ich obu, zanim się udamy do Exford, gdzie otworzymy parlament, a następnie do Windsoru, kędy zamyślamy przepędzić Święta Wielkanocne. *(zwracając się ku katowi)* Zbliż się. Cieszę się że cię widzę. Jesteś dobry sługa. Staryś już—widziałeś trzy panowania. Zwyczajem dawnym, panujący tego królestwa, przy wstąpieniu na tron, zwykli ci składać w darze co może być najkosztowniejszego. Mój ojciec Henryk VIII, dał ci dyamentową spinkę od swego płaszcza. Mój brat, Edward VIty, czarę złotych, przepysznie rzeźbioną. Teraz na mnie kolej. Dotąd, niceś jeszcze nie dostał: chcę ci także mój dar złożyć---chodź. *(Pokazując Fabianiego)* Widzisz tę głowę, tę młodą, piękną głowę; tę głowę, która, dziś rano jeszcze, była dla mnie wszystkiem com miała najpiękniejszego, najukochańszego, najkosztowniejszego pod słońcem; otóż, głowę tę—wszak ją widzisz—co? otóż głowę tę składam ci w darze. Bierz ją!

Dzień trzeci.

## KTÓRY Z DWÓCH?

*(Sala we wnętrzu wieży Londyńskiej. Ostrołuki na grubych słupach. Po obu stronach niskie drzwi wiodące do dwóch więzień, oraz dwoje drzwi ukrytych w ścianie. Z prawej okienko wychodzące na Tamizę, z lewej podobneż od ulic miasta. W głębi, rodzaj oszklonej galeryi z balkonem, zwróconej ku zewnętrznym dziedzińcom zabudowań wieży).*

## SCENA PIERWSZA.

GILBERT, JOZUE.

GILBERT. No i cóż?

JOZUE. Gdzie tam!

GILBERT. Ani nadziei?

JOZUE. Ani nadziei! (*Gilbert idzie ku oknu*). Nic nie zobaczysz z tego okna!

GILBERT. I dowiadywałeś się?

JOZUE. Jestem aż nadto pewny.

GILBERT. I to dla Fabianiego?

JOZUE. Dla niego samego.

GILBERT. Oh! jakież on szczęśliwy!

JOZUE. Nie smuć się biedaku, przyjdzie kolój i na ciebie. Dziś on—jutro ty.

GILBERT. Co ty powiadasz? nie rozumiemy się widocznie? O czym chcesz mówić?

JOZUE. Ależ o rusztowaniu, które właśnie wznoszą w téj chwili.

GILBERT. Ah! a ja mówię o Joannie!

JOZUE. O Joannie!

GILBERT. Tak, o Joannie,—o niej tylko—co mi tam reszta! Szczęśliwy! tyś już widzę zapomniat wszystkiego. A przecież, niedawno jeszcze temu, strofowałeś mię, że od miesiąca jak tu siedzę, nie umiem się oderwać od krat więzienia, przez które widać ją nieustannie, bladą i w żałobie, snującą się u stóp téj wieżyczki, gdzie prócz mnie siedzi tylko Fabiani. Więc wyszły ci już z pamięci wszystkie moje niepewności, zwątpienia, męczarnie? Dla którego z nas dwóch przychodzi tu Joanna? Dniem i nocą, zapytuję o to siebie samego. Wreszcie wczoraj zwierzyłem się tobie, i przyrzekłeś mi, że w wieczór postarasz się z nią pomówić. O! powiedz mi nareszcie, czegoś się dowiedział: dla mnież ona przychodzi, czy dla Fabianiego?

JOZUE. Dowiedziałem się że Fabiani ma być stracony dziś, a ty jutro; i doprawdy, od chwili téj, wszystko pomieszało mi się w głowie. Rusztowanie zatarło pamięć Joanny. Śmierć twoja.....

GILBERT. Moja śmierć! Co chcesz przez nią rozumieć? chyba to, że mię Joanna już nie kocha! W istocie, od chwili kiedy się o tém dowiedział, żyć przestałem. Umarłem śmiercią—wierz mi, Jozue. To co w téj chwili żyje niby jeszcze ze mnie, nie warto całego jutrzejszego zachodu. Widzisz, nie łatwo to nawet pojąć, co miłość zdolna jest zrobić z człowieka! Gdyby mi powiedziano dwa miesiące temu: Joasia, twoja niepokalana Joasia, ta twoja Joasia tak czysta, ta miłość i pycha twego serca, ta twoja śnieżna lilia i skarb jedyny... odda się drugiemu,—czy zechcesz wziąć ją potem? Odrzekłbym: nie, za nic w świecie, wolę tysiące śmierci dla siebie i dla niej! i jeszcze byłbym

zmiażdżył piętami tego, coby mi mówił rzecz podobną. Teraz—cóż powiesz na to? posłuchaj. W tej chwili Joanna (wiesz dobrze), nie jest już więcej ową Joasią bez najmniejszej zmaży, ową Joasią do której nieledwie modliłem się na klęczkach, której czoła zaledwie śmiałem dotknąć usty,—przeciwnie, oddała się innemu, i to jeszcze nędznikowi nad nędznikami, i ja wiem o tém—i cóż? oto kocham ją całą duszą. Pękło mi serce, ale ją kocham. Ucałowałbym brzeg jej sukni, przebaczeniaby mi błagał, byle mię tylko chciała. Gdybym ją nawet ujrzał poniewierającą się w kałuży—jak tyle drugich, to jeszczebym ją podniósł ztamtąd i przycisnął do serca. Jozue! Jozue! dałbym, nie sto lat życia, bo już mam dzień tylko jeden przed sobą, ale wieczność całą której się dobiję jutro, w zamian za to, żeby się raz uśmiechnęła do mnie, raz jeden, jedyny, zanim umrę; i także żeby mi mógł usłyszeć z ust jej to ubóstwione słowo które mi niegdyś mawiała: kocham cię. Widzisz, mój drogi Jozue, takieto już serce kochającego człowieka! Myślisz że zabijesz kobietę która cię zdradza? Wcale nie, nie zabijesz jej,—owszem, położysz się u nóg jej równie dziś jak przedtem, tylko że posmutniejesz. Znajdujesz może, że m zbyt słaby; ale powiedz mi, cóżbym zyskał zabiwszy Joannę? Oh! w sercu mojem gniazdo nieznosnych męczarni! I gdyby mię kochała przynajmniej, co mi tam wszystko co się stało! ale kocha Fabianiego, kocha tego nędznika i dla niego tylko tu przychodzi. Jednego tylko pewny jestem, to że śmierci pragnę. Oh! litości nademną! litości Jozue!

JOZUE. Fabiani dzisiaj śmierć poniesie.

GILBERT. A ja jutro.

JOZUE. Bóg jest kresem wszystkiego.

GILBERT. Dziś ja się pomszczę na nim—on na mnie jutro.

JOZUE. Ale otóż Eneasze Dulwerton, nadzorca więzienia Wieży—muszę odejść: zobaczmy się wieczorem.

GILBERT. Oh! umrzeć nie będąc kochanym, nie będąc opłakiwanym! Joanno! Joanno! *(wraca do swego więzienia)*.

JOZUE. Biedny Gilbert! Boże mój! ktoby był przewidział, że się kiedy stanie to wszystko co się stało! *(usuwa się ze sceny, podczas kiedy wchodzi Szymon Renard i Eneasze)*.



## SCENA DRUGA.

SZYMON RENARD, ENEASZ DULWERTON.

SZYMON RENARD. Ha! rzecz to dziwna, nie przeczę—ale cóż robić. Królowa oszalała; sama nie wie czego się jej zachciewa. Na nic tu liczyć nie można, bo kobieta zawsze zostanie kobietą. Proszę mi powiedzieć na przykład: co ona tu myśli robić? Doprawdy, wybornie rozumią serce niewieście Franciszek I., pisząc na szybie w Chambord:

Często zwodzi białogłowa,  
Głupi kto jej wiarę chowa!

Mości Dulwerton, myśmy starzy przyjaciele. Trzeba to będzie dziś już skończyć. Wszystko od ciebie zależy. Gdyby ci przypadkiem polecono... (*mówi mu na ucho*). Rozumiesz, można będzie rzecz zwłóczyć, i ostatecznie zwichnąć ją jakoś zręcznie. Niech wygram tylko dwie godziny czasu, to dziś wieczorem stanie się co sobie założyłem; jutro ani śladu ulubieńca, tylko ja, pan wszechmocny; a pojutrze Waszmość zostajesz baronetem i komendantem Wieży. Czy zgoda?

ENEASZ. Zgoda.

SZYMON RENARD. To dobrze. Ktoś nadchodzi. Nie trzeba żeby nas widziano razem. Wyjdź Wać Pan tamtędy, a ja pójdę naprzeciw królowej (*rozchodzą się*).

## SCENA TRZECIA.

(*wchodzi strażnik więzienny oglądając się z wielką ostrożnością, i następnie wprowadza Joannę*).

STRAŻNIK. Mylady, jesteś już tam gdzieś się dostać żądała. Oto drzwi dwóch więzień. A teraz, proszę o zapłatę.

JOANNA (*odpina naramiennik dyamentowy i daje mu go*). Masz.

STRAŻNIK. Dziękuję. Proszę mię tylko nie zdradzić (*wychodzi*).

JOANNA (*sama*). Boże! jak tu zrobić? Jam go zgubiła, ja go też ocalić muszę. Ale czy potrafię? Kobieta cóż poradzić może! Rusztowanie! rusztowanie! to rzecz okropna! No, dość już łez—tu działać trzeba.—Ale ja temu nie podołam—ja temu nie podołam!—Miłosierdzia! Boże mój!—Ktoś nadchodzi—głos jakiś słyszę—co to za głos? to głos królowej! ach! wszystko stracone! (*chowa się po za śłupem*).

## SCENA CZWARTA.

KRÓLOWA, SZYMON RENARD, JOANNA (*ukryta*).

KRÓLOWA. Ha! zmiana moja dziwi cię, Mości Starosto? Znajdujesz zem nie podobna do siebie saméj? A więc, cóż mię to obchodzi? tak mi się podobało, i koniec. W téj chwili, nie chcę już jego śmierci.

SZYMON RENARD. Jednakże Wasza Królewska Mość kazałaś ogłosić wczoraj, że wymiar kary dziś miejsce mieć będzie.

KRÓLOWA. Tak samo jak kazałam onegdaj, żeby to nastąpiło wczoraj, jak kazałam ogłosić w niedzielę, że się to stanie w poniedziałek. Dziś podoba mi się kazać ogłosić, że egzekucya odbędzie się jutro.

SZYMON RENARD. Ależ to już trzy tygodnie jak Izba Gwiazdzista wyrzekła wyrok na zbrodniarzy; trzy tygodnie już jak ci ostatni wrócili nazad do Wieży, mając przed sobą kata z toporem zwróconym ku ich twarzom; trzy tygodnie już jak Wasza Królewska Mość odkładasz spełnienie wyroku z dnia na dzień.

KRÓLOWA. A więc, czyż nigdy własną domyślnością nie potrafisz nic zrozumieć, mój panie? Czyż ci potrzeba wszystko powiedzieć wyraźnie? czyż koniecznie biedna kobieta ma przed tobą obnażać serce, dlatego że na swoje nieszczęście jest królową, i że ty przedstawiasz tutaj księcia hiszpańskiego jęj przyszłego małżonka? Mój Boże, wy mężczyźni, to się nawet ani domyślacie, że u kobiety równie serce ma swój wstyd jak ciało. Ale ponieważ już na to zeszło, ponieważ chcesz wiedzieć wyraźną prawdę, ponieważ udajesz że nie nie rozumiesz; otóż oświadczam ci mój panie, że istotnie z umysłu rzecz przewlekam, gdyż co rano sił mi braknie na samą myśl, że dzwon Wieży Londyńskiej ma wydzwonić śmierć tego człowieka, gdyż w głowie mi się miesza kiedy przypuszczam, że ostrzą topór dla jego szyi, gdyż zdaje mi się że umrę ilekroć wyobrażam sobie trumnę którą dla niego zbijają, — jedném słowem bom jest kobieta, bom słaba, bom szalona, bo nareszcie, kocham go całą duszą! — No i cóż? wszak już dosyć, spodziewam się? wszak masz w końcu coś chciał, mój przebiegły panie? O! poczekaj! zapłacisz mi kiedyś krwawo, za wszystko co mię zmuszasz wypowiadać w téj chwili!

SZYMON RENARD. Jednak, czasby już skończyć z Fabianim. Przecież Wasza Królewska Mość masz wkrótce zaślubić księcia hiszpańskiego, mego dostojnego pana.

KRÓLOWA. Jeżeli się cośkolwiek księciu hiszpańskiemu nie podoba, poślubimy kogo innego. Nie brak nam starających się o naszą monarszą rękę. Syn króla rzymskiego, książę Piemontu, infant portugalski, kardynał Polus, król duński i lord Courtenay, są tyleż dobrą szlachtą co on.

SZYMON RENARD. Lord Courtenay! lord Courtenay!

KRÓLOWA. Baron angielski, Mości Panie, wart hiszpańskiego księcia. Prócz tego, jest potomkiem cesarzów Wschodu. A zresztą—gniewaj się sobie, czy nie; wszystko mi to już jedno.

SZYMON RENARD. Fabianiego nienawidzi każdy, kto ma serce w piersi.

KRÓLOWA. Prócz mnie jednéj.

SZYMON RENARD. Mieszczanie niecierpią go na równi z panami. Jeżeli i dziś jeszcze nie zostanie stracony....

KRÓLOWA. To co?

SZYMON RENARD. Wzburzy się motłoch miejski.

KRÓLOWA. Knechty zrobią porządek.

SZYMON RENARD. Sprzysięgną się panowie.

KRÓLOWA. Kat się w to wda.

SZYMON RENARD. Miłościwa Pani, przysięgłaś na książkę od nabożeństwa twojej matki, że mu nie udzielisz przebaczenia.

KRÓLOWA. Ale oto blankiet który mi kazał oddać z więzienia. W blankiecie tym zobowiązuję się przysięgą na koronę mojej skroni królewskiej, że mu udzielę łaski jakiej sam zażąda. Korona mego ojca warta przecież książki od nabożeństwa matki. A jedna przysięga niweczy drugą. Zresztą któż ci mówi, Mości Starosto, że mu chcę przebaczyć?

SZYMON RENARD. Jednak Miłościwa Pani, zdradził cię on dziwnie zuchwale!

KRÓLOWA. To nie! to nie! każdy z was robi to samo! Nie chcę jego śmierci i koniec! Słuchaj mylordzie....—Mości Starosto, chcę mówić—Boże drogi, tak mi rozkołatałeś głowę, że ani wiem już do kogo mówię! otóż, Mości Starosto, wiem zgóry wszystko co mi masz do powiedzenia. Że to człek podły, niktzemnik, nędznik! Zgadza się w tém z tobą—wstyd mi—sromota; jednak, cóż robić? kocham go. Ani ty na to nie poradzisz, ani ja. Możebym go nawet nie tyle kochała, gdyby był uczciwy. Zresztą, cóż innego jesteście wy wszyscy, ilu was jest na świecie? Możecie więcej warci od niego? Powiesz mi na to: że to ulubieniec, i że naród



angielski nie cierpi ulubieńców. Czyż to ja nie wiem: że jedynie dlatego radbyś się pozbyć Fabiana, żeby na jego miejsce postawić hrabiego Kildaru, tego nadętego pyszałka, tego lichego Irlandczyka, który każe uciąć dwadzieścia głów dziennie. Ale czy ci to co zawadza? — I! nie gadaj mi tylko próżno o tym tam twoim księciu hiszpańskim. Żartujesz sobie chyba. Ani o kwaśnym usposobieniu Imé Pana de Noailles ambasadora francuzkiego. Imé Pan de Noailles jest rzadki głupiec — i powiem mu to w oczy. Zresztą, od tegom kobieta, — to mi się chce, to znów odechce — nie jestem cała z jednej sztuki. Życie tego człowieka jest potrzebą mojego własnego. Ależ proszę, mój panie, przynajmniej nie w mojej obecności bawić się będziesz w tę udaną szlachetność i tam jakieś skromności dziewczęce. Znam ja się na twoich figlach nie od dzisiaj. Między nami mówiąc, Waćpan wiesz doskonale, że on nie popełnił zbrodni, za którą jest na śmierć skazany. No, nie ma co już rozprawiać dłużej. Ja nie chcę żeby Fabiani tracił życie. Mam też nadzieję, że się woli mojej stanie zadość, — od tegom królowa. Nawet lepięj już mówiny o czém inném.

SZYMON RENARD. W takim razie, nie pozostaje mi jak odejść, Miłościwa Pani. Cała szlachta przemówiła do ciebie przez moje usta.

KRÓLOWA. Co mi tam szlachta!

SZYMON RENARD (*do siebie*). To spróbujemy jeszcze ludu, (*wychodzi, skłoniwszy się głęboko*)

KRÓLOWA (*sama*). Pożegnał mię w osobliwszy jakiś sposób. Pewnie już coś knuje pokątnie. Trzeba go będzie uprzedzić do miejskiego gmachu. Hej! jest tam kto?  
(*wchodzi Eneasze i Jozue*).

## SCENA PIĄTA.

*Ciż sami, oprócz RENARDA, ENEASZA, JOZUE.*

KRÓLOWA. Ach! to Waćpan, Mości Dulwerton. Musicie oba z tym człowiekiem natychmiast ułatwić ucieczkę lordowi Clanbrassil.

ENEASZ. Miłościwa Pani....

KRÓLOWA. Albo nie, — nie ufam ci. Przypomniałam sobie, żeś jest jednym z jego nieprzyjaciół. Boże drogi! toż otoczona jestem wrogami tylko człowieka którego kocham. Założę się, że nawet ten odźwierny którego nie znam, nienawidzi go także.

JOZUE. To prawda, Miłościwa Królowo.

KRÓLOWA. Boże mój! Boże! toż ten Szymon Renard jest tu więcéj królem niż ja królową. To dopiero! Nie mieć nawet zaufać komu! Nie mieć komu powierzyć ocalenie Fabianiego.

JOANNA (*występując z po za filaru*). Miłościwa Pani, ja się go podejmę.

JOZUE (*do siebie*). Joanna!

KRÓLOWA Ty? kto taki? Ach! Joanna Talbot.. zkądżeś ty tu? Ale mniejsza—chcesz być wybawicielką Fabianiego—dziękuję ci. Powinnabym cię nienawidzieć, być zazdrosną o ciebie—mam tysiące do tego powodów. Tymczasem—całkiem przeciwnie—kocham cię, za to że go kochasz. W obec rusztowania, zazdrość znika: zostaje miłość tylko. Widzę żeś zupełnie jak ja—przebaczyłaś mu wszystko. Mężczyźni to się na tém nie rozumieją. A więc—lady Joanno, w twoje ręce składam los jego. Myśmy obie zarówno nieszczęśliwe;—nieprawdaż, że trzeba koniecznie wyratować Fabianiego? Mam ciebie jedną tylko, tobie jednę tylko zaufać mogę. Wierzę przynajmniej że włożysz w to wszystkie siły twego serca.—Mości Panowie, obadwa ślepo we wszystkiém słuchać macie lady Joanny, i głowy wasze odpowiedzą, jeśli byście nie wypełnili jéj rozkazów. Jakże sobie myślisz poradzić Joanno?

JOANNA. Z téj strony znajduje się właśnie skryte wyjście na Tamizę. Dość tylko podprowadzić, łódkę.

ENEASZ. Ale łódki niepodobna mieć prędkiej, jak za godzinę.

JOANNA. To bardzo długo.

ENEASZ. Nie jest to długo. Zresztą, za godzinę noc już zapadnie; a nierównie łatwiej działać pod jéj osłoną.

KRÓLOWA. Może i masz słusność. A więc, niech będzie za godzinę. Zostań tu, lady Joanno, ja muszę się jeszcze udać do gmachu obrad miejskich. Ty ratuj tymczasem Fabianiego.

JOANNA. Bądź spokojną, Miłościwa Pani (*królowa wychodzi*).

JOZUE (*do siebie*). Miał słusność Gilbert: ona całkiem oddana Fabianiemu.

## SCENA SZÓSTA.

*Ciż sami, oprócz KRÓLOWÉJ.*

JOANNA (*do Eneasza*). Mości Dulwerton, znasz wolę królowéj. Proszę natychmiast zarządzić przygotowanie łódki,

oddać do mego rozporządzenia klucz tajemnego wyjścia, oraz dostarczyć mi płaszcz i kapelusz.

ENEASZ. Milady, ani podobna przed nocą. W ciągu godziny, wszystko będzie w gotowości.

JOANNA. Niech i tak będzie. Żegnam. Proszę mię zostawić z tym człowiekiem (*Dulwerton wychodzi*).

JOZUE (*do siebie*). Z tym człowiekiem. Ha! to rzecz prosta. Kto zapomniał Gilberta, ten nie umie już poznać Jozuego (*idzie ku drzwiom więzienia Fabianiego, i zabiera się je otworzyć*).

JOANNA. Co to ma znaczyć?

JOZUE. Uprzedzam życzenia twoje, milady. Otwieram drzwi.

JOANNA. Cóż to za drzwi?

JOZUE. Od więzienia lorda Fabiani.

JOANNA. A te drugie?

JOZUE. To od więzienia kogo innego.

JOANNA. Któż to taki?

JOZUE. To także skazany na śmierć. Ale nie znasz go, milady. Jest to rzemieślnik niejaki, nazwiskiem Gilbert.

JOANNA. To proszę mi otworzyć te drzwi.

JOZUE (*otworzywszy*). Gilbercie!

## SCENA SIÓDMA.

JOANNA, GILBERT, JOZUE.

GILBERT (*z wnętrza więzienia*). Kto mię woła? (*ukazuje się na progu, spostrzega Joannę i zmuszony jest wstąpić się o mur z wzruszenia*) Joanna?.. Lady Joanna Talbot!

JOANNA (*na kolanach, ze spuszczoneym wzrokiem*). Gilbercie, przyszłam cię ocalić.

GILBERT. Mnie ocalić!

JOANNA. Posłuchaj. Bądź miłosierny, nie obarczaj mię wyrzutami. Wiem na com zasłużyła—jednak oszczędź mię Gilbercie. Bo widzisz—nie ma chwili do stracenia. Wszystko już gotowe. Ratunek jest pewny. Przyjmij go odemnie, jakby od byle kogo drugiego. Niczego więcej nie żądam. Znowu potém znać mię przestajesz. Nie przebaczasz mi—tylko pozwól żebym cię ocaliła. Czy zgadzasz się na to?

GILBERT. Dziękuję,—na nic się to nie zda. Co mi po życiu lady Joanno, jak raz wiem że mię nie kochasz?



JOANNA (*z żywą radością*). Oh! Gilbercie, miałżebyś istotnie żądać tego odemnie? podobnaż to, żebyś raczył dbać jeszcze o to, co się dzieje w sercu biednej dziewczyny? Więc obchodzi cię jeszcze choć trochę miłość moja dla kogo-bądź na świecie? Widzisz, ja myślałam, że ci to całkiem wszystko jedno,— że w pogardzie twojej, ani już przypuszczasz nawet, że i Joanna ma serce w piersi. O! gdybyś wiedział, czém są dla mnie te twoje słowa! Promień Bożego słońca, niespodzianie przenikający noc bez jutra, może dać słabe tylko o tém pojęcie. O! więc posłuchaj. Gdybym śmiała zbliżyć się jeszcze do ciebie, dotknąć brzegu twojej sukni, dotknąć twęj ręki: gdybym się ośmielić mogła wznieść wzrok ku tobie i ku niebu jak to niegdyś bywało; czy wiesz co-bym ci powiedziała wtedy na klęczkach, u nóg twoich, zalana łzami, włócząc się w prochu, z łkaniem w piersi, anielskiem szczęściem w sercu,—oto powiedziałabym ci.... Gilbercie, kocham cię!

GILBERT (*porywając ją w objęcia*). Kochasz mię?

JOANNA. O, tak! kocham cię, Gilbercie!

GILBERT. Ona mię kocha! Boże wielki! i to prawda, i to ona sama mi to mówi, bo wszak to z własnych jej ust słyszałem. Boże mój, Boże!

JOANNA. Gilbercie mój!

GILBERT. Więc powiadasz, żeś wszystko przygotowała do mojej ucieczki? To dobrze,—prędko, czempredzój! Życia! ja żyć chcę. Joanna mię kocha! Sklepienie to na głowie mi osiada,—zgniecie ją. Powietrza! powietrza! Umrę tu. Uciekajmy! Chodź! Chodź Joasiu!

JOANNA. Zaraz. Wkrótce łódka nadejdzie. Trzeba tylko do-czekać nocy. Ale bądź spokojny— za godzinę będzie-my daleko ztąd. Królowa udała się do miasta, i nie wróci tak prędko. Jam tu panią. Wyjaśnię ci zaraz wszystko.

GILBERT. Godzina oczekiwania—oh! jakże to długo! Tak mi śpieszno odzyskać życie i szczęście. Joasiu! Joasiu! tyś tu—przy mnie! Żyć będę—ty mnie kochasz! Doprawdy, wracam z otchłani potępienia. Trzymaj mię, bo się jeszcze dopuszczę jakiego szaleństwa—zobaczysz. Mam ochotę śmiać się, śpiewać, płakać. Więc mię kochasz? powtórz mi to raz jeszcze.

JOANNA. Tak jest, kocham cię, kocham cię Gilbercie, i nawet—wierz mi, i miej to za najszczerzą spowiedź mojej duszy, za taką jaką bywa jedynie na łożu konania,—nigdy nie kochała nikogo innego prócz ciebie—nawet w moim obłędzie, pośród wszystkich zdradliwych

ułud mojej zbrodni, ciebie jednego tylko kochałam Gilbercie. Zaledwem upadła w objęcia szatana który mię pchnął na zatrąę, a już gorzko płakałam mego anioła!

GILBERT. To już oddawna zapomniane, przebaczone. Nie mów więcej o tém, Joasiu. Co mi tam przeszłość! któżby się oparł twoim słowom! kto by sobie nawet postąpił inaczej jak ja! Doprawdy, ja ci z duszy przebaczam, moje dziecię ukochane. Miłość—to przecie koniecznie pobłażliwość i zapomnienie wszystkiego. Czy wiesz Joasiu? zazdrość i rozpacz wypaliły łzy z moich oczu; inaczej płakałbym ze szczęścia. O, tak! przebaczam ci—co mówię! dzięki ci składam; boś ty jedyne promieniste zjawisko na widnokręgu méj duszy; toż za każdym słowem twojém, coraz inny ból zamiera we mnie, coraz nowa radość się rodzi. Joasiu, podnieś już raz głowę i popatrz mi w oczy. Powiadam ci, Joasiu, żeś ty moje dziecię ukochane.

JOANNA. Zawsze szlachetny! zawsze ten sam! mój Gilbert ukochany!

GILBERT. Oh! chciałbym już nie być tu,—chciałbym być daleko—na wolności—z tobą razem! Oh! ta noc, której się ani sposobu doczekać! I Łódki także nie ma dotąd. Joasiu, opuścimy Londyn natychmiast—tęj nocy jeszcze! Opuścimy także Anglię. Przeniesiemy się do Wenecyi. Dla snycerzy, łatwy tam zarobek. Będziesz moja.... Ależ Boże mój! oszalałam doprawdy! Ty? moja? A nazwisko twoje! nazwisko twoje Joasiu! takie piękne nazwisko!

JOANNA. Jakie nazwisko?

GILBERT. Córkę lorda Talbot.

JOANNA. Znam piękniejsze od niego.

GILBERT. Piękniejsze jeszcze? Jakież to?

JOANNA. Żony rzemieślnika Gilberta.

GILBERT. Joasiu!

JOANNA. Nie, nie, nie myśl że mam śmiałość żądać tego od ciebie. O! wiem dobrze, żeś tego niegodna. Nie wzniosę oczu aż tak wysoko, nie nadużyję do tego stopnia twego przebaczenia. Biedny snycerz Gilbert nie zniży się aż do poślubienia hrabianki Waterford. Nie. Tylko pójdę za tobą wszędzie gdzie zechcesz, kochać cię będę, nie opuszczę cię już nigdy. W dzień leżeć będę u nóg twoich, w nocy za progiem twego mieszkania; przy robocie twojej podawać ci będę co potrzeba, pomagać w czém będę mogła. Będę ci mniej niż siostrą, trochę tylko więcej niż psem. A jak się



ożenisz (bo Bóg da nareszcie że znajdziesz kobietę bez zmyzy i godną ciebie), to wtedy, jeżeli żona twoja pozwoli, zostanę jej służką. W przeciwnym razie, pójdę sobie umrzeć gdziekolwiek. Bo tylko wtedy odejdę od ciebie. Jeżeli się zaś nie ożenisz, zostanę zawsze z tobą, nie będę ci w niczem przeszkadzać, ani się naprzykrzać. Zobaczysz. Niech sobie ludzie co chcą myślą o tych naszych stosunkach—wszystko mi jedno—nie dbam o nic. Wiesz dobrze że się już nie mam więcej rumienić czego. Jam tylko biedna dziewczyna.

GILBERT (*padając jej do nóg*). O nie! tyś anioł! tyś moja żona!

JOANNA. Żona twoja! O! Gilbercie, ty przebaczać umiesz jak Bóg tylko przebacza, to jest oczyszczając zarazem. O! bądź uwielbiony, żeś mi raczył włożyć na głowę podobną koronę.

(*podczas kiedy się trzymają w objęciach, Jozue nieśmiało dotyka ręki Joanny*)

JOZUE. Jam Jozue, lady Joanno.

GILBERT. Dobry mój Jozue!

JOZUE. Przed chwilą nie poznałaś mię pani.

JOANNA. Widzisz, należało zacząć od niego (*Jozue całuje jej rękę*).

GILBERT (*przyciskając ją do serca*). Boże! cóż za szczęście! Ale czy to tylko istotnie na jawie?

(*od niejakiego czasu słychać od strony miasta zgiełk coraz silniejszy. Zwolna mrok zapada*).

JOZUE. Co znaczy ten zgiełk na ulicy? (*idzie do okna*).

JOANNA. Boże wielki! byle się tylko nie stało co złego!

JOZUE. Ogromne jakieś zbiegowisko. Zewsząd oskardy, pochodnie, włócznie. Jurgieltnicy królowej konno i w bojowym szyku. Wszystko to tu się przybliża. Co za gwałt, co za wrzenie! Do diabła! czyżby rozruch pospólstwa?

JOANNA.. Oh! czy to tylko nie na zgubę Gilberta!

KRZYKI Z TŁUMU. Precz z Fabianim! śmierć Fabianiemu!

JOANNA. Słyszałeś Jozue?

JOZUE. Słyszałem.

JOANNA. Co oni wołają?

JOZUE. Nie rozumiąłem dobrze.

JOANNA. Boże mój! Boże!

(*skrytymi drzwiczkami wchodzi pośpiesznie Eneas z wioślarem*).



## SCENA ÓSMA.

*Ciż sami, ENEASZ, WIOŚLARZ.*

ENEASZ. Mylordzie, mylordzie, nie ma czasu do stracenia. Dowiedziano się że królowa chce cię wykraść z więzienia. Pospólstwo się wzburzyło. Za kwadrans możesz być rozszarpany w szmaty. Uciekaj, hrabio Clanbrassill! Oto płaszcz i kapelusz. Oto przewoźnik. Proszę nie zapomnieć, że mnie zawdzięczasz to wszystko. Śpiesz się, mylordzie. *(z cicha do wioślarza)* A ty się nie śpiesz bynajmniej.

JOANNA. *(narzucając szybko płaszcz i kapelusz na Gilberta, z cicha do Jozuego):* Boże miłosierny! byle tylko ten człowiek nie spostrzegł....

ENEASZ *(zaglądając w twarz Gilbertowi).* Ależ to nie hrabia Clanbrassill! pani nie spełniasz rozkazów królowej! Pani ułatwiasz ucieczkę komuś innemu!

JOANNA. Wszystko przepadło! Co tu robić!... Panie! to prawda, ale miej litość....

ENEASZ *(z cicha do Joanny).* Cyt! rób pani swoje. Nie mówiłem nic — nie widziałem nic.  
*(oddala się wgląd jak najobojętniej).*

JOANNA. Co on powiedział? Ach! więc Opatrzność jest z nami! Wyraźnie, każdyby rad ocalić Gilberta.

JOZUE. Nie tak, lady Joanno; tylko, każdyby rad zgubić Fabianiego.

*(zgiełk zewnątrz coraz silniejszy).*

JOANNA. Spieszmy się! Chodź! chodź Gilbercie!

JOZUE. Niech sam idzie.

JOANNA. Co? bezemnie?

JOZUE. Tymczasem. Jeszcze widno,— pani jesteś biało ubrana. Ktokolwiek dostrzedz może. Zejdziecie się, jak już będzie bezpieczny. Chodź pani ze mną, on wyjdzie inną stroną.

JOANNA. Jozue ma słuszność. Więc gdzie się zejść mamy, Gilbercie?

GILBERT. Pod pierwszą arkadą wielkiego mostu.

JOANNA. Dobrze. Idź już, zgiełk wzrasta. Radabym żebyś już był daleko.

JOZUE. Oto klucze. Masz przed sobą aż dwanaście drzwi do otwarczenia i zamknięcia. Trzeba na to kwadrans czasu.

JOANNA. Kwadrans cały! dwanaście drzwi! Boże miłosierny!

GILBERT *(całując ją).* Bogu cię polecam, Joasiu. Jeszcze kilka chwil tylko, a połączymy się na całe życie.

JOANNA. Na wieczność całą! *(do wioslarza)* Odpowiadasz za niego głową.

ENEASZ *(zciecha do wioslarza)*. Nie śpiesz się, żeby nie było jakiego wypadku.

*(Gilbert wychodzi z wioslarzem).*

JOZUE. Już bezpieczny. No, teraz nasza kolej. Najprzód, na klucz to więzienie. *(zamyka więzienie Gilberta)*. Już! Teraz chodźmy, prędko, tędy! *(wychodzi z Joanną przez drugie skryte drzwiczki)*.

ENEASZ *(sam)*. Fabiani został w pułapce! To mi przebiegła kobietka! JMé Pan Renard dałby za nią Bóg wie co. Ale jak się ten figiel podoba królowej? Byle się na mnie nie skrupiło.

*(Od strony Galeryi wchodzą szybkim krokiem Szymon Renard i królowa. Zgiełk uliczny wzmagą się ciągle. Noc już prawie zupełna. Mordercze okrzyki, blaski pochodni, szereg broni, strzały, tęt, wrzawa bitwy. Towarzyszy królowej wielu panów z obnażoną bronią. Wśród nich herold Anglii niesie rozwinięty znak królewski, a herold orderu Podwiązki, chorągiew swojej Kapituły).*

## SCENA DZIEWIĄTA.

KRÓLOWA, SZYMON RENARD, ENEASZ, LORD CLINTON,  
DWAJ HEROLDOWIE, PANOWIE, PAZIOWIE, i t. d.

KRÓLOWA *(zciecha do Dulvertona)* Fabiani już bezpieczny?

ENEASZ. Nie jeszcze.

KRÓLOWA. Nie jeszcze? *(spogląda mu w oczy straszliwym wzrokiem)*.

ENEASZ *(do siebie)*. O! do pioruna!

KRZYKI Z ZEWNĄTRZ. Śmierć Fabianiemu!

SZYMON RENARD. Miłościwa Pani, potrzeba koniecznie coś postanowić, i to szybko, bo nie ma czasu do stracenia. Lud żąda śmierci tego człowieka. Miasto całe w ogniu. Wieża już obleżona, niebezpieczeństwo coraz groźniejsze. Hufec doborowej szlachty rozszarpano już w kawały na wielkim moście. Jurgieltnicy Waszjej Królewskiej Mości trzymają się jeszcze, nie mniej jednak, od samego Ratusza tropiona, ścigana, parta z ulicy w ulicę, zaledwieś tu Miłościwa Pani schronienie znaleźć zdołała. Stronnicy księżniczki Elżbiety wyraźnie przywodzą rozruchowi. Widać to zaraz po rozwścieczeniu motłochu. Wszystko to bardzo jest groźne. Cóż Wasza Królewska Mość rozkazać raczysz?



KRZYKI LUDU. Precz Fabiani! na śmierć Fabiani! (*coraz ich więcej i coraz bliższe*).

KRÓLOWA. Na śmierć! Słyszycie mylordowie te wycia? Motłoch jest głodny. Człowieka mu koniecznie rzucić trzeba, życie ludzkie!...

SZYMON RENARD. Miłościwa Pani, cóż rozkazać raczysz?

KRÓLOWA. Przez Boga, mylordowie, toż zdaje mi się, że się garniecie wkoło mnie drżąc ze strachu. Jakto? więc kobieta uczyć was będzie rycerskiego rzemiosła? Na koń, moi panowie, na koń! Wstyďte się! przeraża was nędzny motłoch uliczny—szpady złękły się kijów!

SZYMON RENARD. Miłościwa Pani, nie posuwaj rzeczy za daleko. Racz uleđz póki czas jeszcze. To co w téj chwili nazywasz motłochem, za godzinę nazwiesz ludem. (*krzyki się wzmagają, gwar się zbliża*).

KRÓLOWA. Za godzinę!

SZYMON RENARD (*idąc wgląd galeryi i wracając*). Nie za godzinę nawet, ale za kwadrans, Miłościwa Pani. Zdobyto już pierwszy obwód warowni. Jeszcze krok, a będziemy mieli lud na karku.

LUD. Do Wieży! do Wieży; dawać tu Fabianiego! na śmierć Fabiani!

KRÓLOWA. O! lud! cóż to za okropne zwierzę! Fabiani! zawsze Fabiani!

SZYMON RENARD. Miłościwa Pani, czy chcesz go widzieć rozszarpanym w twoich oczach? Stanie się to za chwilę.

KRÓLOWA. Ależ, czy wiecie moi panowie, że to w końcu rzecz nikczemna! Żaden z was ani się ruszy. Przez Boga, broncież mię przecie!

LORD CLINTON. Ciebie, Miłościwa Pani, do ostatniej krwi kropli—ale Fabianiego za nic w świecie.

KRÓLOWA. A! to coś okropnego! A więc dzień się co chce—powiem wam prawdę istotną. Fabiano jest niewinny. Fabiano wcale nie popełnił zbrodni za którą ma dać gardło. To my we troje: ja, ten tu oto i snycerz Gilbert, wymyśliśmy, ułożyli i odegrali rzecz całą. To tylko czysta komedia. Spodziewam się, że mi nie zaprzeczysz, Mości Starosto. Teraz tedy chcecież stanąć w jego obronie. Jest niewinny, zaręczam wam, przysięgam wam na moją głowę—na moją koronę—na mego Boga—na duszę mojej matki, jako nie jest winien zbrodni. To tak prawda, jak że cię widzę żywym Clintonie. Broń go. Wysiecz twoim dzielnym mieczem tych nędzników, jak niegdyś w pień wyciąłeś Tomasza Wyata z jego zgrają, mój wierny Clintonie, mój stary



przyjacielu, mój dobry Robercie. Przysięgam ci że to fałsz wierutny żeby Fabiano miał kiedy godzić na życie królowej.

LORD CLINTON. Jest inna królowa, na której życie śmiał godzić — stara nasza Anglia!

*(urzawa trwa ciągle).*

KRÓLOWA. Balkon! otworzyć balkon! Chcę sama dowieść ludowi, że Fabiano jest niewinny.

SZYMON RENARD. Czy dowiedziesz mu także Miłościwa Pani: że nie jest Włochem?

KRÓLOWA. Ha! pomyśleć tylko: że to jakiś Szymon Renard, zausznik kardynała Granvelli, śmie przemawiać do mnie w ten sposób! — Więc nie. Ale otworzyć mi natychmiast te drzwi od tego więzienia. Tam Fabiano siedzi. Widzieć go muszę. Mówić z nim muszę.

SZYMON RENARD. *(zicha).* Co pani robisz? Zgubisz go, jeśli wszystkim wiadomo będzie gdzie go szukać.

LUD. Śmierć Fabianiemu! Niech żyje Elżbieta!

SZYMON RENARD. Niech żyje Elżbieta — czy słyszysz, Miłościwa Pani?

KRÓLOWA. Boże mój! Boże!

SZYMON RENARD. Trzeba wybrać jedno z dwojga: — *(pokazuje drzwi więzienia)*; albo tę głowę której się lud domaga, *(pokazuje koronę na głowie królowej)* albo tę koronę po którą sięga księżniczka Elżbieta.

LUD. Śmierć! Śmierć Fabianiemu! Elżbieta!

*(kamień tłucze szybę tuż obok królowej)*

SZYMON RENARD. Miłościwa Pani, sama idziesz na zgubę, nie ocalaając Fabianiego. Wdarto się już na drugi dziedziniec. Cóż narzeczcie Wasza Królewska Mość rozkazać raczy?

KRÓLOWA. Wszyścieście podli — poczynając od Clintona. Clintonie! Clintonie! nigdy ci tego nie zapomnę, mój ty przyjacielu.

SZYMON RENARD. Cóż królowa rozkazać raczy?

KRÓLOWA. Oh! widzieć się opuszczoną od wszystkich! Tyle powiedzieć i nic nie uprosić! Cóż to znów za rycerstwo ci wszyscy ludzie? I ten lud taki niekczemu! Rada-bym go móż deptać nogami. — Więc zdarza się niekiedy: że królowa jest tylko kobietą. — Oh! zapłacicie mi za to krwawo, moi panowie!

SZYMON RENARD. Cóż królowa rozkazać raczy?

KRÓLOWA. *(złamana).* Co sobie chcesz. Daj mi już raz pokój! Jesteś łotr, mój panie! Oh, Fabiano! Fabiano!

SZYMON RENARD. Heroldowie, do mnie! Mości Dulwerton, chciéj otworzyć wielki balkon galeryi.

(*Otwierają się podwoje balkonu. Wrzawa się wzmacnia więcej jeszcze*).

LUD. Fabiani! Fabiani!

SZYMON RENARD. (*Na balkonie, zwrócony ku ludowi, mając po obu stronach Heroldów*). W imieniu królowej!

HEROLDOWIE. W imieniu królowej! (*robi się cisza głęboka*).

SZYMON RENARD. Słuchajcie! niechaj wiadomém bądźcie wszem w obec i każdemu z osobna, jako dnia dzisiejszego, owszem téj nocy jeszcze, w godzinę po zgaszeniu ognia, Fabiano Fabiani, hrabia Clanbrassil, narzucony czarnym worem od stóp do głowy, z żelaznym kneblem w ustach, trzy funtową gromnicą w ręce, wyprowadzony zostanie przy pochodniach z więzienia Wieży Londyńskiej, przez Charing-Cross, na Stary Rynek, kędy zostanie publicznie znieważony i pozbawiony życia przez ucięcie głowy mieczem, a to na zadosyćczynienie za zbrodnię zdrady majestatu oraz królobójczego zamachu na namaszczoną osobę Jej Królewskiej Mości, pani naszéj Miłościwéj (*grzmot oklasków zewnątrz*).

OKRZYKI LUDU. Niech żyje Królowa! na śmierć Fabiani!

SZYMON RENARD. (*mówiąc dalej*). I żeby to nikomu w mieście tajném nie było, oto co królowa niniejszém mieć sobie życzy: Podczas trwania całego pochodu skazanego na śmierć winowajcy, uderzać będzie podzwonne wielki dzwon Wieży Londyńskiej. Następnie, w czasie już saméj egzekucyi, trzy salwy z dział dane będą. Pierwsza kiedy wstąpi na rusztowanie, druga kiedy klęknie przed pniem na czarném suknie, trzecia, kiedy już spadnie głowa zbrodniarza! (*oklaski*).

OKRZYKI LUDU. Oświecić wszędzie! światła! światła po całym mieście!

SZYMON RENARD (*mówiąc dalej*). Nocy téj, Wieża i miasto płonąć będą ogniami i jarzącém oświeczeniem, na znak wielkiey radości:—skończyłem! (*Oklaski*). Boże, miej w opiece starą kartę angielską!

DWAJ HEROLDOWIE. Boże, miej w opiece starą kartę angielską!

OKRZYKI LUDU. Fabiani na śmierć. Niech żyje Marya! niech żyje królowa!

(*balkon się zamyka. Szymon Renard wraca*).

SZYMON RENARD. Miłościwa Pani, tego com zrobił w téj chwili, nigdy mi nie przebaczy księżniczka Elżbieta.

KRÓLOWA. Ani królowa Marya. Idź sobie, mój panie. (*Odprawia wszystkich skinieniem ręki*).

SYMON RENARD (*zwraca do Dulwertona*). Mości Dulwerton, czuwaj nad wykonaniem wyroku.

ENEASZ. Proszę się na mnie spuścić.

(*Szymon Renard wychodzi. W chwili kiedy Dulwerton zabiera się iść za nim, królowa chwytą go za rękę, i ciągnie ku przodowi sceny*).

## SCENA DZIESIĄTA.

KRÓLOWA, ENEASZ.

OKRZYKI LUDU ZEWNĄTRZ. Śmierć Fabianiemu! Fabiani, Fabiani na śmierć!

KRÓLOWA. Która głowa więcej warta w tej chwili: twoja czy Fabianiego? Mów, jak ci się zdaje?

ENEASZ. Miłościwa Pani....

KRÓLOWA. Tyś zdrajca.

ENEASZ. Najjaśniejsza Pani.... (*do siebie*) O! do diabła!

KRÓLOWA. Nie ma wykrętów. Przysięgam ci na imię mojej matki—jeśli Fabiani umrze, ty umrzesz.

ENEASZ. Ależ, Miłościwa Pani....

KRÓLOWA. Ocal go, a sam ocalejesz—ale nieinaczéj.

OKRZYKI LUDU. Fabiani na śmierć! na śmierć!

ENEASZ. Ocalić go? Ależ pełno wszędzie ludu. Niepodobieństwo! Gdzież sposób?

KRÓLOWA. Szukaj.

ENEASZ. Co tu robić i jak robić?

KRÓLOWA. Jakbyś robił dla siebie samego.

ENEASZ. Ależ lud nie złoży broni, aż mu się stanie zadosyć. Żąda koniecznie śmierci.

KRÓLOWA. To daj mu na śmierć kogo zechcesz.

ENEASZ. Kogo zechcę?... Ach! Ma się to wszystko odbyć w nocy, skazany ma być cały zakryty, z zakneblowanemi ustami, lud jak zwykle trzymany w pewnej odległości od rusztowania — dość mu żeby widział spadającą głowę. Może się to istotnie i da zrobić. Byle tylko przewoźnik nie był jeszcze daleko — powiedziałem mu żeby się nie spieszył. (*Idzie do okna wychodzącego na Tamizę*). Na szczęście, jest jeszcze. (*Wychyla się z okna z pochodnią w ręku i daje znak chustką*). Teraz, mogę już ręczyć za lorda Clanbrassil, Miłościwa Pani.

KRÓLOWA. Czy twoją własną głową?

ENEASZ. Moją własną.



## CZĘŚĆ DRUGA.

Rodzaj ustępu, który się kończy wyjściem na szerokie schody, wstępujące w jedną stronę, zniżające się w drugą. Urządzony jest jak kaplica żałobna, ale w taki sposób, że obie boczne ściany wraz z sufitem wybite są kirem przecinanym w białe krzyże, głab zaś białą oponą z czarnym krzyżem w pośrodku. Wszystko to w podobny sposób przedłuża się równie w dół jak w górę schodów znajdujących się w głębi. Z prawej i z lewej, po jednym ołtarzu, przybranym jak do nabożeństwa żałobnego. Ale nigdzie świec zapalonych, ani księży. Kilka tylko lamp wiszących tu i owdzie u sklepienia, oświeca słabo ustęp i schody. Właściwe jednak oświetlenie sali stanowi biała opona z krzyżem w głębi, z po za której przegląda światłość czerwona, jakby wychodząca z ogromnej płomienistej czeluści. Posadzka sali składa się z samych kamieni grobowych. Przy podniesieniu zasłony, widać na białej oponie nieruchomy cień królowej, stojącej po za nią z tyłu.

## SCENA PIERWSZA.

JOANNA, JOZUE.

*(wchodzą ostrożnie, unosząc jedną z czarnych zasłon bocznych).*

JOANNA. Gdziez jesteśmy?

JOZUE. W wielkim ustępie schodów, któremi udają się skazani na śmierć, w pogrzebowym pochodzie. Cały ten przyrząd zaprowadzono jeszcze za Henryka VIIIgo.

JOANNA. I nie ma sposobu wyjścia z wieży?

JOZUE. Najmniejszego. Lud zewsząd strzeże. Chce tą razą być pewnym swego. Nikt ztąd nie wyjdzie, dopóki nie stracą winowajcy.

JOANNA. Obwieszczenie które wypowiedziano z tego balkonu brzmi mi jeszcze w uszach. Czyś je słyszał jak ja? Jakaż to rzecz okropna!

JOZUE. O, słyszałem już nie jedno takie!

JOANNA. Był się tylko Gilbert zdołał wymknąć. Czy myślisz że już jest bezpieczny?

JOZUE. Jestem tego pewny.

JOANNA. Jesteś tego pewny, mój poczciwy Jozue?

JOZUE. Wieża nie była jeszcze strzeżona od strony rzeki. I wreszcie, nie tak gorąco jeszcze wtedy szły rzeczy. Bo téż to była gorąca sprawa, jak mi Bóg miły!

JOANNA. I jesteś pewny że nic mu już nie zagraża?

JOZUE. I że w téj chwili czeka już pod pierwszą arkadą Wielkiego Mostu, gdzie się z nim pani połączysz, nie dalej jak przed północą.

JOANNA. Boże! jakże musi być niespokojny, nie mogąc wiedzieć co się tu dzieje! (*sposprzegując cię od postaci królowej*)  
Boże! cóż to jest?

JOZUE. (*zciha, biorąc ją za rękę*). Cyt! to czatująca lwica.

GŁOS (*w oddaleniu, dochodzący z góry schodów*). Człowiek idący za mną w tej oto czarnej zasłonie, jest to wielce możny i znakomity pan, Fabiano Fabiani, hrabia Clanbrassil, baron Dinasmonddy, baron Darmouth w Dewonshire, który niebawem odda gardło pod miecz katowski na Starym Rynku Miejskim, jako winien zbrodni królobójstwa oraz zdrady stanu! Boże! zmiłuj się nad jego duszą!

INNY GŁOS. Módlcie się zań!

JOANNA. (*drżąca*). Słyszysz, Jozue?

JOZUE. A jakże—ja takie rzeczy słyszę codzień.

*Orszak pogrzebowy w głębi, na zejściu schodów od góry. Na czele człowiek w czarném ubraniu, niosący białą chorągiew z czarnym krzyżem. Za nim Eneas Dulwerton w wielkim płaszczu czarnym z białą laską w dłoni. Dalej orszak halabardników w czerwonej odzieży. Następnie kat z toporem na ramieniu, mającym ostrze zwrócone ku temu który idzie za nim. Potém człowiek całkowicie narzucony wielką czarną zasłoną, wlokącą się po ziemi. Z całej jego postaci widać tylko obnażoną rękę. wytkniętą przez otwór w catunie, w której trzyma płonącą gromnicę. Towarzyszy mu ksiądz w żałobnej kapie. Za niemi przeciąga orszak halabardników, przybranych czerwono. Wreszcie człowiek w białém ubraniu, niosący czarną chorągiew z białym krzyżem. Przez cały ciąg orszaku, po dwóch jego stronach, idą w pewnych odstępach halabardnicy niosący pochodnie.*

JOANNA. Jozue! Jozue! czy widzisz?

JOZUE. A jakże: ja takie rzeczy widzę codzień.

*(orszak cały zatrzymuje się w głębi przez chwilę. Towarzyszy mu Szymon Renard, uważając wszystko nader bacznie.*

ENEASZ DULWERTON. Człowiek idący za mną w tej oto czarnej zasłonie, jest to wielce możny i wielce znakomity pan, Fabiano Fabiani, hrabia Clanbrassil, baron Dinasmonddy, baron Darmouth w Dewonshire, który niebawem odda gardło pod miecz katowski, na Starym Rynku Miejskim, jako winien zbrodni królobójstwa, oraz zdrady stanu! Boże! zmiłuj się nad jego duszą!

DWAJ CHORAŻOWIE. Módlcie się zań!

*(Orszak oddala się ku zejściu w dół).*

JOANNA. To jest okropny widok. Jozue! Jozue! krew mi w żyłach krzepnie!

JOZUE. Ten nikczemnik Fabiani!

JOANNA. Nie mów tak, Jozue. To człowiek nikczemny—prawda—ale téż i bardzo nieszczęśliwy!

*(Podczas kiedy się orszak zapuszcza zwolna pod sklepienie zejścia schodów, Szymon Renard zatrzymuje się chwilę potrząsając głową; wreszcie mówi do siebie:*

SZYMON RENARD. Co to jest? To chyba nie Fabiani. Fabiani jest o wiele niższy. Czyżby Dulwerton?... Istotnie, królowa została z nim sam na sam przez chwilę. Trzeba będzie rzecz tę zbadać bliżej. *(idzie dalej w ślad za orszakiem).*

GŁOS *(oddalający się coraz więcej)*. Człowiek idący za mną w téj oto czarnej zasłonie, jest to wielce możny i wielce znakomity pan, Fabiano Fabiani, hrabia Clanbrassil, baron Dinasmonddy, baron Darmouth w Dewonshire, który niebawem odda gardło pod miecz katowski na Starym Rynku Miejskim, jako winien zbrodni królobójstwa, oraz zdrady stanu! Boże! zmiłuj się nad jego duszą!

GŁOSY *bardzo już oddalone*. Módlcie się zań.

JOZUE. Tylko patrzeć, jak wielki dzwon Wieży obwieści wyjście orszaku na miasto. Wtedy zapewne będzie się można wymknąć ztąd wraz z drugimi. Pójdę zobaczyć jak to tam jest. Zaraz wrócę.

JOANNA. O! nie odchodź Jozue, albo weź mię z sobą. Ja tu umrę ze strachu sama jedna.

JOZUE. Ależ niebezpiecznie jest w téj chwili przechadzać się po Wieży kobiecie. Ja sam, to co innego. A tu trzeba koniecznie pomyśleć o wyjściu, bo Gilbert czeka.

JOANNA. A! Gilbert! tak, tak; idź już, idź prędko; śpiesz się mój drogi Jozue. *(Jozue wychodzi).*

JOANNA. *(sama)*. Co za okropne widowisko! Pomyśleć że tak mogło być z Gilbertem! *(klęka na stopniach jednego z ołtarzy)*. O! bądź uwielbiony, Boże mój! Tyś zaprawdę Bóg zbawca. Wybawiłeś Gilberta! *(Uchyła się zasłona w głębi. Ukazuje się królowa. Wolnym krokiem, nie widząc Joanny, postępuje ku przodowi sceny).*

JOANNA. *(odwracając się na szmer)*. Boże wielki! Królowa! *(Chwyta się ołtarza pełna przerażenia).*



## SCENA DRUGA.

JOANNA, KRÓLOWA.

KRÓLOWA. *(zatrzymuje się przez chwilę na proscenium z wzrokiem w stęp, blade, nieruchoma, zatopiona w posępny zadumie).* Oh! lud ten! *(ogląda się niespokojnie w okół).* Ktoś tu jest! A! to ty dziewczyno! To ty, lady Joanno? Złękaś się mnie. Chodź, nie bój się niczego. Dulwerton zdradził nas — wiesz. Ależ nie bój się — powiadam ci. Nie myślę ci zrobić nic złego. To co zbrodnią było miesiąc temu, dziś się liczy za zasługę — za cnotę. Kochasz Fabiana. Dwie nas tylko takich pod słońcem, dwie go tylko kochamy. Myśmy siostry.

JOANNA. Miłościwa Pani...

KRÓLOWA. Tak, dwie nas tylko — dwie kobiety — dwa serca, — oto wszystko co jeszcze z nimi trzyma na świecie całym. Wszystko reszta przeciw niemu! Całe to miasto, cały ten lud — świat cały! A walka nierówna. Miłość dla niego smutna jest, struchlała, z sił wyczerpana; ma twoje czoło blade, moje oczy łez pełne, czepia się ołtarza, modli się twemi ustami, przeklina mojami. Nienawisć stąpa dumnie, drży ze szczęścia, promienieje; jest zbrojna i zwyciężka, ma sobie dwór, lud, chmary motłochu, ciżbę w ulicach, wre okrzykami śmierci i radości zarazem, jest pyszna, wspaniała, wszechmocna, skupia płonące miasto całe w około jednego rusztowania! Miłość dla Fabianiego — to dwie kobiety narzucone żakobą, tulące się w sklepieniach grobu. Chcesz zobaczyć nienawisć? Patrz!

*(Odchyła gwałtownie zasłonę w głębi. Ukazuje się balkon otwarty, a z niego, jak wzrok zasięgnie, wśród czarnej nocy, widać część wieży, oraz miasto, oświetlone płomienisto. Rażące blaski ztamtąd, krwawo rozjaśniają scenę).*

KRÓLOWA. Oh! niegodziwy, przewrotny, przeklęty grodzie! O! potworze straszliwy, który pierzesz sobie we krwi suknie od święta, i stojąc z pochodnią w ręku przyświecasz oprawcy! Wszak strach ci i wstręt téj poczwary, Joanno? Nieprawdaż, że ci się zdaje, jakby się podle urągała nam obu? jakby wytrzeszczała na nas tysiące płomienistych zrzenic? na nas, dwie słabe, opuszczone kobiety, porzucone i zapomniane w tym grobowcu! Czy słyszysz, jak się chichocze, jak wyje? O Anglio! Anglio! Kto mi z ziemią zrówna ten Londyn? Oh! jakże-

bym chciała móżdż zmienić w żagwie te wszystkie migocące pochodnie, wszystkie te światła w płomienie, i całe to jarzące miasto w jedno kurzące się zgłiszczel!..  
(*Niezmierny zgiełk w oddali. Oklaski.*)

KRZYKI Z ZEWNĄTRZ. Oto on! oto on! Fabiani! Fabiani! na śmierć Fabiani! (*Znagła, uderza wielki dzwon wieży. Słyszając to królowa, wybucha straszliwym śmiechem.*)

JOANNA. Boże Wielki! ten nieszczęśliwy wyszedł już z wieży!... A pani się śmiejesz!

KRÓLOWA. Tak—śmieję się (*śmieje się*). Zaraz i ty się uśmiejesz! Ale najprzód—niechże zapuszczę znowu tę zastłonę; bo inaczej zdaje mi się nieustannie żeśmy tu nie same, i że to wyuzdane miasto ciągle nas widzi i słucha (*zapuszcza nazad zastłonę i wraca na przód sceny*). A teraz, kiedy już sobie poszedł, kiedy już nie ma niebezpieczeństwa; mogę ci wszystko powiedzieć. Ależ, śmiej się; szydźmy obie z téj ohydnej zgrai, pojącej się krwią kurzącą. Oh! to rzecz wyborna! Drzysz o Fabianiego? uspokój się—możesz się zanościć od śmiechu razem ze mną. Słuchaj Joanno—człowiek którego oni dostali w szpony, który poszedł na stracenie, którego mają za Fabiana—to wcale nie Fabiano! (*trzyma się za boki od śmiechu*).

JOANNA. To nie Fabiano?

KRÓLOWA. Wcale nie.

JOANNA. Więc któż taki?

KRÓLOWA. To ten drugi.

JOANNA. Jaki drugi?

KRÓLOWA. Ten—wiesz—znasz go—ten rzemieślnik—ten tam...

JOANNA (*drżąc cała*). Gilbert?

KRÓLOWA. Tak, Gilbert podobno się nazywa.

JOANNA. Miłościwa Pani! oh! to niepodobna! Miłościwa pani, racz odwołać coś powiedziała, bo to chyba być nie może! Gilbert! ależ toby było coś okropnego! Gilbert zdołał się ratować ucieczką!

KRÓLOWA. W istocie, chciał to zrobić, ale go schwytano. Poszedł w ręce kata na miejsce Fabiana. Nakryty jest czarnym worem. Rzecz się odbywa po nocy. Lud ani się domyśli zamiany. Możesz być spokojna.

JOANNA (*z przerażającym wykrzykiem*). Oh! pani! ten którego kocham, to właśnie Gilbert!

KRÓLOWA. Co? co ty mówisz? czyś zmysły straciła? Więc i ty mię oszukiwałaś? Ach! to ty tego Gilberta sobie kochasz? A więc, co mi tam do tego?



JOANNA (*u nóg królowej, łkając i włócząc się na kolanach z załamaniem rękoma. Przez całą tę scenę bije wielki dzwon wieży*). Pani, przez litość! Pani, na Imię Boga! Pani, na twoją koronę, na pamięć matki, na anioły w niebie! Gilbert! Gilbert! Ja o tém nawet myśleć nie umiem. Pani, ratuj Gilberta! W nim jedyne źródło mego życia—on mąż mój—on przecię... Wszak tylko co mówiłam ci Miłościwa Pani: że mi on jest wszystkiem na ziemi, że mię przyjął za własne dziecko, wychował, że mi u kołyski jeszcze zastąpił ojca który poległ w sprawie twój matki. Miłościwa Pani, chciej zważyć, że ja tylko biedna, nieszczęśliwa dziewczyna, i że nie należy się ze mną obchodzić surowo. To, coś powiedziała, tak mię straszliwie ugodziło w serce, że doprawdy nie wiem nawet, z kąd biorę siły mówić cośkolwiek. Dla tego, nie szukać ładu w tém co mówię. Ale trzeba koniecznie wstrzymać wykonanie wyroku. Czempredzój, natychmiast, koniecznie je wstrzymać. Odwlec je do jutra. Przez ten czas ułożymy co innego. Lud poczeka. Ułożymy co innego. Nie, nie kręć pani głowę. Nic się nie stanie Fabianiemu. Ja go zastąpię. W czarnej zastanie, nocą—któż rozpozna? byle uratować Gilberta. Miłościwa Pani, wszak ci wszystko jedno: on, czy ja? Zresztą, co ci to szkodzi, kiedy ja chcę umrzeć! Oh! ten dzwon, ten dzwon okropny! każdy dźwięk jego, to bliżej krokiem ku rusztowaniu! Każdy dźwięk jego uderza mi w serce. Zrób to pani przez litość, twój Fabiani w każdym razie ci zostanie. Pozwól, niech ci ucałuję ręce. Kocham cię, Miłościwa Pani—jeszczem ci tego nigdy nie powiedziała—ale cię bardzo—bardzo kocham. Jesteś wielka królowa. Patrz jak całuję twoje piękne ręce. Oh! rozkaż tylko, chciej tylko, a wyrok nie zostanie spełniony. Czas jeszcze. Zaręczam ci, że się to da zrobić. Idą bardzo wolno. Do Starego Rynku, to kawał drogi. Mówiono z balkonu: że orszak ciągnąć będzie przez Charing-Cross. Jest droga krótsza. Człowiek konny jeszczeby na czas dopędził. Na Imię Boga, Miłościwa Pani, miej litość! Wreszcie—staw się na mojem miejscu, wyobraź sobie: że ja królowa, a ty biedna dziewczyna,—płakałabyś jak ja płaczę, a jabym cię wysłuchiwała. Wysłuchaj mię, zlituj się nademną, królowo! Oh! tak się bałam, czy ży nie przeszkodzi mi mówić. Oh! zaraz! natychmiast! Oh! wstrzymać wykonanie wyroku! To przecież da się zrobić,—przysięgam ci pani, że Fabianiemu nic się złego nie stanie. Czy istotnie zdaje ci się pani: że nie należy zrobić tego o co błagam?



KRÓLOWA (*podnosząc ją, wzruszona*). Owszem, chciałabym cię móżdż wysłuchać, nieszczęśliwa dziewczyno. Bo płaczysz tak jak ja się napłakałam, bo cierpisz jak ja cierpiałam. Dzielę twój ból, bom sama bolała. Patrz, płaczę razem z tobą. Doprawdy — nieszczęście się stało — nietrudno było podstawić kogo innego, Tyrconnela na przykład — ale on nadto znany; trzeba było kogoś o kim świat nie wie. Ten tylko był pod ręką. Mówię ci to, żebyś zrozumieć mogła, jak się to stało. Bywają już takie zrządzienia. Wpada kto w matnię, i już po nim.

JOANNA. Słucham cię uważnie, Miłościwa Pani. — Ja także miałabym ci nie jedno do powiedzenia — tylko chcięj zarządzić odwołanie wyroku, — niech kto z tém co tchu pojedzie! Jak raz się to stanie, snadniej nam będzie bawić się rozmową. Oh! ten dzwon! ten dzwon! zawsze ten dzwon!

KRÓLOWA. To, czego żądasz jest niepodobieństwem, lady Joanno.

JOANNA. Owszem, to rzecz łatwa do zrobienia. Pojedzie kto konno. Jest droga bardzo krótka, przez wybrzeża, — wreszcie ja sama pojedę. To łatwo, nawet bardzo, bardzo łatwo. Miłościwa Pani, chcięj przyznać sama, że nie mówię nic złego.

KRÓLOWA. Ależ lud się na to nie zgodzi. Ależ gotów tu wrócić i wymordować wszystkich co do nogi, a w téj liczbie Fabianiego. Zastanów się przecież; co ci się dzieje! Drżysz biedne dziecko — ależ i mnie dreszcz przeszywa. Z kolei ty się staw na mojem miejscu. Zważ, że mogłabym nie zadawać sobie trudu usprawiedliwiać ci się z tego wszystkiego. Widzisz, że robię co mogę. Nie myśl już o tym Gilbertcie, Joanno — już po nim. Pogódź się z tą myślą.

JOANNA. Już po nim? — Nie — nie może być po nim! Nie, dopóki ten okropny dzwon uderza — nie jest jeszcze po nim. Ja? pogodzić się z śmiercią Gilberta? Czy pani myślisz że ja dam w ten sposób umrzeć Gilbertowi? O! nie, mylisz się pani. Ha! błagam cię na próżno — ha! nie chcesz mię wysłuchać. A więc, jeżeli królowa mię wysłuchać nie chce — lud mię wysłucha. Ci prości ludzie mają serca. Jest ich jeszcze nie mało w tym dziedzińcu. Zrobisz pani ze mną co ci się podoba, ale pierwój dowiedzą się: że są oszukani, że to nie Fabianiego prowadzą im na śmierć, ale Gilberta, takiego samego rzemieślnika jak oni wszyscy.

KRÓLOWA (*chwytając ją za rękę i przykuwając do miejsca groźnym spojrzeniem*). Co? co? szalona dziewczyno! Ach! to tak?

jam z tobą dobra i łagodna i płaczę, razem z tobą, i to cię robi zuchwałą i bezrozumną? Poczekaj — tak do-  
brze kocham ja, jak ty; tylko że ręka moja trochę sil-  
niejsza od twojej. Ani mi się rusz. Twój kochanek!  
Co mnie tam obchodzi twój kochanek! Skończy się na  
tém, że wszystkie dziewczęta Anglii całej zlecą się su-  
szyć mi głowę swemi kochankami. To dopiero! — Ja  
bronię swojego jak mogę, choćby kosztem niewiedzieć  
kogo! Wy sobie pilnujcie waszych.

JOANNA. Puść mię pani — Oh! przeklinam cię niegodziwa kobieto!

KRÓLOWA. Milcz!

JOANNA. Nie będę milczeć! I chcesz pani żebym ci wypowiedzia-  
ła co myślę o tém wszystkiém? Oto ten ktorego na  
śmierć prowadzą — to nie może być Gilbert.

KRÓLOWA. Co? co ty mówisz?

JOANNA. Widziałam go jak przechodził, idąc na śmierć. Gdyby  
to był Gilbert, cośby się było wstrząsło we mnie —  
coś wzburzyło — coś mię dotkliwie ugodziło w serce,  
wołając: to Gilbert! to Gilbert! Nic podobnego nie  
uczulałam na ten widok, — to nie on!

KRÓLOWA. Co ty mówisz? Boże mój! Zmysły straciłaś. — Nie ma  
związku w tém co mówisz, a jednak dreszczem mię to  
przeszywa. Ach! dotknęłaś struny najtajniejszych obaw  
mego serca. Czemuż nie mogłam wszystkiego dopil-  
nować sama? Eneasz Dulwerton, to zdrajca. Szymon  
Renard, ten przekłety Szymon Renard, to taki zaprzy-  
sięgły wróg Fabiana! kto wie? może istotnie nie speł-  
niono moich rozkazów — może naprawdę poprowadzo-  
no Fabianiego! Hej! jest tam kto? czy jest tam kto?  
kto bądź! (*wchodzi dwóch dozorców więzienia*). — (*do  
jednego*). Ruszaj co tchu — Oto mój pierścień królew-  
ski. Niech natychmiast zawieszą spełnienie wyroku!  
Na Stary Rynek — na Stary Rynek! Jest krótsza droga,  
mówiłaś?

JOANNA. Przez wybrzeże.

KRÓLOWA (*do dozorczy*). Przez wybrzeże. Na koń, co tchu! (*dozor-  
ca wychodzi*) — (*do drugiego*). Ty zaś, idź bez zwłoki  
do wieżyczki Edwarda spowiednika. Są tam dwa wię-  
zienia dla skazanych na śmierć. W jednym z nich sie-  
dzi ktoś, którego mi przyprowadź natychmiast (*dozorca  
wychodzi*). Ach! nogi się gną podemną, anibym zdołała  
dojść tam sama. — Oh! niegodziwe dziewczę, zarażasz  
mnie twojém szaleństwem, zarażasz mnie twojém nieszczę-  
ściem, przeklinam cię, jak ty mię przekleś! Boże  
mój! czy tylko poślaniec na czas zdąży? — Co za udrę-  
czenie! Wzrok mi się mroczy. W głowie się mąci.

Ten dzwon—komu on podzwania? czy Gilbertowi, czy Fabianiemu?

JOANNA. Dzwon ustał.

KRÓLOWA. Więc orszak przybył już na miejsce. Wysłaniec spóźnić się może.

*(strzał armatni w oddali).*

JOANNA. Boże!

KRÓLOWA. Wstępuje na rusztowanie! *(drugi strzał)*. Kłęk!

JOANNA. O zgrozo! *(trzeci strzał)*.

OBIE. Ach!...

KRÓLOWA. Już tylko jeden z nich żyje.— Za chwilę dowiemy się, który. Boże mój! daj żeby to był Fabiano!

JOANNA. Boże mój! daj żeby to był Gilbert!

*(rozsuwa się zasłona w głębi, i występuje Szymon Renard, trzymający za rękę Gilberta).*

JOANNA. Gilbert! *(rzucają się sobie w objęcia)*.

KRÓLOWA. A Fabiano?

SZYMON RENARD. Stracony.

KRÓLOWA. Stracony?... stracony! któż był tyle zuchwały?...

SZYMON RENARD. Ja. — W obronie królowej — w obronie całej Anglii.

